GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 18 GRUDNIA 1938 R.

Nr. 23 – 24 ROK VIII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 23—24

1938 R.

18 — XII

WACŁAW JASTRZĘBOWSKI

ROZWAŻANIA WSTĘPNE

Gospodarka samorządu warszawskiego wielokrotnie była omawiana w naszym piśmie. Współpracownicy pisma, odnosząc się do tej sprawy z tym samym krytycyzmem, jaki stosują do innych zjawisk i problemów ekonomicznych, oceniali gospodarkę samorządu stołecznego dodatnio, traktując ją jako — do pewnego stopnia — wzór dobrego wypełniania zadań, stojących przed tym samorządem. Jest więc rzeczą naturalną, że zamierzyliśmy w paru artykułach, tematycznie związanych ze sobą, powrócić do tych spraw obecnie, gdy ma nastąpić ukonstytuowanie się nowych władz miejskich.

Wyraźnie polityczny charakter wyborów samorządowych nie może nam przeszkodzić w zrealizowaniu tego zamiaru. Niewątpliwie zadania samorządu terytorialnego są zadaniami nieomal wyłącznie gospodarczymi. Tem samem *celem* wyborów jest postawienia na czele samorządu ludzi najlepiej wykwalifikowanych do realizowania zadań gospodarczych. Fakt, że wybory do rady miejskiej są wyborami politycznymi oznacza zatem, że usunięty został na plan dalszy właściwy cel tych wyborów i stały się one raczej *środkiem*, użytym przez polityczne ugrupowania dla realizowania ich politycznych celów, z natury rzeczy w skali ogólno-polskiej, a nie lokalnej. Nie uważamy za konieczne ustosunkować się do tego faktu, tem bardziej, że nigdzie nie jest powiedziane, aby władze miejskie wyłonione na podłożu przesłanek politycznych nie mogły przez to sprawnie wykonywać swych zadań gospodarczych. Rada miejska i zarząd miejski, powstając w wyniku akcji politycznej, tem niemniej muszą być organami gospodarczymi. Dlatego możeby obecnie, w okresie konstytuowania się tych organów, wypowiadać się na temat gospodarki Warszawy, nie zatrącając o momenty polityczne, którymi się pismo nasze nie zajmuje. Co więcej, uważamy się nie tylko za uprawnionych, ale jako publicyści gospodarczy nawet poniekąd za zobowiązanych do zabrania obecnie głosu, aby w naszym zakresie działania wprowadzić pewnego rodzaju korekturę czu uzupełnienie tych rozważań, w atmosferze których powstają nowe władze miejskie, rozważań wyłącznie niemal politycznych, traktujących również momenty gospodarcze jako jeden z argumentów używanych w walce politycznej.

Okoliczność, że w toku obecnej akcji wyborczej momenty gospodarcze traktowane są jako jeden z argumentów w walce politycznej, jest okolicznością nieco krępującą dla nas, czego nie potrzeba ukrywać. Nie przewidujemy wprawdzie, aby z poważnej strony insynuowano nam, iż również „Gospodarka Narodowa" dała się użyć dla celów politycznych, z jakąkolwiek choćby ujmą dla obiektywizmu głoszonych w niej poglądów i ocen gospodarczych. Tem niemniej jednak postanowiliśmy symbolicznie podkreślić zupełną niezależność naszych ocen od względów politycznych. Symbolem tym jest data ukazania się niniejszego numeru „Gospodarki", data wskazująca, że artykuły w nim zawarte pisane były przed wyborami, gdy nieznane były ich wyniki, oddane zaś zostały te artykuły czytelnikowi już po wyborach, a więc nie mogą nikogo zaagitować na rzecz którejś z list wyborczych. Dla gospodarki Warszawy waż-

niejszym jest skład Zarządu Miejskiego, aniżeli Rady Miejskiej. Uważając, że Rada Miejska, powstająca na podłożu ściśle politycznym, może tem niemniej dobrze wypełniać swe zadania gospodarcze — nie moglibyśmy przenieść tego poglądu na organ ściśle wykonawczy, jakim jest zarząd gminy. Radni miejscy, niezależnie od swego oblicza politycznego, ustanawiając swój organ wykonawczy, obowiązani są opierać się przede wszystkim, jeżeli nie wyłącznie, na przesłankach gospodarczych. Bylibyśmy radzi, gdyby nasze rozważania dopomogły radnym miasta w tych ich podstawowych decyzjach. Do tego rodzaju „agitacji" przyznajemy się tem chętniej, że odnośnie ludzi wybranych w list politycznych nie zachodzi możliwość zaagitowania ich na rzecz jakiegoś ugrupowania politycznego.

Do gospodarki ustępującego Zarządu Miejskiego odnosimy się zdecydowanie pozytywnie. Skłaniają nas do tego przede wszystkim wykazane przez ten Zarząd zdolności realizacyjne. W oczach naszych ustępują na plan drugi koncepcje i metody pracy, o których już za lat niewiele zaczniemy wszyscy zapominać, przemawia do nas przede wszystkim *praca wykonana*, pobudowane ulice, kanalizacje, wodociągi, wykonane melioracje, gmachy miejskie i szkoły, rozwinięte przedsiębiorstwa miejskie, uporządkowane finanse, rzeczy, które przetrwają długie lata, napewno dłużej, niż ich twórcy i krytycy. Tę zdolność realizacyjną cenić musimy tem wyżej, że właśnie jako publicyści gospodarczy widzimy jej niedostatek w całym naszym gospodarstwie narodowym, widzimy wyjątkowo wielkie w Polsce trudności przejścia od projektowania do realizowania i trudność w dokończeniu pracy rozpoczętej. Jesteśmy ludźmi, którzy światopogląd swój ukształtowali już w Rzeczypospolitej pod wpływem nie tylko wielkich idei, obliczonych na przyszłość, lecz również pod wpływem tych „małych" zadań, które są codziennym przejawem życia Państwa. To jest może przyczyną, że dobrze wykonana inwestycja przemawia do nas silniej, aniżeli do ludzi ukształtowanych w okresie niewoli, gdy słusznie należało odgradzać się psychicznie od problemów realizacyjnych, swą drobną przyziemnością przesłaniających wielkie idee.

Spotykamy się z poglądem, że prace ustępującego Zarządu Miejskiego wybierane były pod kątem „efektu", jaki wywierają na obywatela miasta. Pogląd ten podzielamy w pełni, o ile pod pojęciem „pracy na efekt" rozumieć należy dążenie do rezultatu wyraźnego i przedstawiania obywatelom ukończonego wyniku pracy. Nawet tam, gdzie wykonano dzieło nie dające bezpośrednich korzyści materialnych, skłonni jesteśmy dopatrywać się pożytku takiej pracy. Te prace „na efekt", w większości wypadków będące pożytecznemi inwestycjami kulturalnymi, w mniemaniu naszym działają zaraźliwie, rozpowszechniają chęć do rozszerzenia zakresu stawianych sobie wymagań i do ich zaspokojenia, czynnie przyczyniają się zatem do zwiększenia aktywności jednostek i społeczeństwa. Dawanie społeczeństwu czegoś więcej, aniżeli dziś niezbędne minimum — nie tylko nie razi nas, ale nas „bierze", bowiem stan dzisiejszy z reguły interesuje nas przede wszystkim pod kątem tego, co powinno być i będzie jutro.

Oczywiście, istnieje problem hierarchii zadań, które w gospodarce warszawskiej realizowano. Jest to problem do dyskusji, w której częstokroć zająć wypada stanowisko krytyczne. W dalszych artykułach niejednokrotnie dano wyraz takiemu krytycyzmowi. Podkreślić jednak trzeba ze szczególnym naciskiem, że krytykując gospodarkę warszawską kwestionować trzeba nieomal wyłącznie hierarchię, kolejność wykonywanych prac, względnie metodę wykonawczą. Nie napotykamy natomiast na to, aby wykonano jakieś dzieło na pewno zupełnie zbędne, czy też aby zmarnowano posiadane środki przez nieudolność czy złą wolę. Taki zakres krytyki, nawet najostrzejszej — jest w gruncie rzeczy wyrazem uznania.

Wyrazem uznania dla gospodarki warszawskiej jest niniejszy numer naszego pisma. Nie potrzebujemy się kryć z tem, że chęć wyrażenia tego uznania była jedną z ważnych pobudek, jakie nami powodowały, przy czem koncentruje się ono głównie na osobie prez. Starzyńskiego, którego uważamy za dobrego gospodarza stolicy.

Pozytywny stosunek do działalności gospodarczej ustępującego Zarządu Miejskiego z prez. Starzyńskim na czele, przesądza wniosek, że należało by życzyć stolicy, aby nadal jej gospodarką kierowali ci ludzie, którzy to czynili dotąd. Jesteśmy przekonani, że ten sam pogląd mają wyszyscy, gdy oceniają sprawę pod kątem wyłącznie gospodarczym. Rozbieżność poglądów pojawia się wtedy dopiero, gdy się je opiera na przesłankach politycznych. Z tego punktu widzenia oblicze polityczne prez. Starzyńskiego— jakieby ono nie było — jest okolicznością niekorzystną dla Warszawy. Wydaje się niewątpliwem, że każde ugrupowanie polityczne, mając wśród siebie człowieka o takich kwalifikacjach na gospodarza miasta — wysunęłoby jego kandydaturę prezydencką. Niestety, w tej sytuacji jest tylko jedno ugrupowanie polityczne. Innymi słowy momenty polityczne bardzo niepomyślnie komplikują jasny i wyraźny problem gospodarczy, jakim są wybory Zarządu Miejskiego. Byłoby ze szkodą dla stolicy, gdyby owe momenty polityczne, dominujące podczas wyborów do Rady Miejskiej, wzięły górę nad momentami gospodarczymi również po ukonstytuowaniu się Rady.

KAZIMIERZ LUBICZ

FINANSOWANIE GOSPODARKI SAMORZĄDOWEJ WARSZAWY

Fundamentem gospodarki samorządowej jest jej samowystarczalność finansowa. Środki finansowe z różnych źródeł przez samorząd wydobyte, pozostające w jego względnie *swobodnej dyspozycji* (ograniczonej tylko obowiązującemi normami i społecznym rozsądkiem gospodarczym) — muszą wystarczyć na pokrycie kosztów utrzymania aparatu administracyjnego i bieżących potrzeb publicznych obywateli. Nieprzestrzeganie tej rudymentarnej zasady gospodarowania, nieumiejętność w odzyskaniu równowagi finansowej, zachwianej przez koniunkturę, czy przez błędną kalkulację, czy przez ryzykanctwo finansowe, powoduje nie tylko likwidację bezpośrednio winnych kierowników, ale na krótszy lub dłuższy okres — likwidację właściwego samorządu.

Ponad wszelką wątpliwość samorząd stolicy w okresie do 1934 r. przez przeciąg kolejno następujących po sobie 3 lat łamał zasadę samowystarczalności finansowej (niedobory budżetu zwyczajnego wyniosły w r. 1930/31 — 6,1 miln. zł, w r. 1931/32 — 6,1 miln. zł — w r. 1932/33 — 21,4 miln. zł) i przede wszystkim to spowodowało wkroczenie władzy rządowej oraz likwidację samorządności stolicy na dłuższy czas.

Zrozumiałą jest rzeczą, że Zarząd Tymczasowy stolicy w pierwszym rzędzie musiał przywrócić i stabilizować równowagę jej budżetu zwyczajnego; już w r. 1934/35 — zadanie to zostało spełnione. Zamknięcie rachunkowe wykazało niewielką nadwyżkę dochodów nad wydatkami. Możemy stwierdzić, że stan równowagi został zachowany i przez następne 3 okresy.

Jakiemi metodami i przy pomocy jakich środków uzyskano ten dodatni wynik?

Przede wszystkim przez koncentrację dyspozycji wszystkich własnych środków finansowych. Do roku 1934 w gospodarce finansowej Stolicy panowała duża swoboda w dysponowaniu dochodami, uzyskiwanymi przez poszczególne komórki organizacyjne gospodarki miejskiej.

Dotyczy to w pierwszym rzędzie przedsiębiorstw miejskich (gazownia, tramwaje i inne), zakładów (szpitale — zakłady opiekuńcze), urządzenia dobra publicznego (hale targowe) oraz innych instytucji miejskich, posiadających pewne prawa rozporządzania środkami finansowymi przez siebie wygospodarowanymi. Stąd ambicja autonomicznego układania swoich wydatków proporcjonalnie do wzrostu wpływów, stąd tendencja odrębnego kształtowania stosunków uposażeniowych, emerytalnych i innych, stąd namiętna obrona swobody w gromadzeniu funduszów specjalnych i swobody w operowaniu nimi.

Wszelkie te przerosty autonomizmu zostały ukrócone. Wydział Finansowy Zarządu Miejskiego stał się naprawdę jego ministerstwem skarbu i *centralnym ośrodkiem polityki finansowej wszystkich agend gospodarczych gminy.* W konsekwencji musiało nastąpić pewne zglajchszaltowanie stosunków w polityce uposażeniowej oraz w wydatkach administracyjnych przedsiębiorstw i zakładów autonomicznych.

Zabiegi powyższe, chociaż początkowo nie powiększyły ilości środków finansowych, bardzo dodatnio oddziałały na płynność kasową Centrali Zarządu Miejskiego, na możność kierowania rezerw gotówkowych do pokrycia, przynajmniej tymczasowego, najprzykrzejszej formy zobowiązań krótkoterminowych — weksli, asygnat, bonów, zaległych uposażeń itp. Następnie jednak musiały również oddziałać dodatnio na kształtowanie się kosztów stałych przedsiębiorstw i zakładów.

Drugim czynnikiem, sprzyjającym uchwyceniu i utrzymaniu równowagi budżetu zwyczajnego, był *wzrost wpływów własnych*, zarachowywanych na pokrycie potrzeb budżetu administracyjnego.

W grupie podatków wzrost datuje się dopiero od r. 1935/36. A mianowicie: wpływy z danin — udziałów w podatkach, dodatkach do podatków i podatkach samoistnych wynoszą:

w latach	1933/34	1934/35	1935/36	1936/37	1937/38
	milionów złotych				
około	43,4	41,6	44,4	51,5	54,8

Wzrost ten w dużym stopniu należy przypisać działaniu koniunktury, tem niemniej pewne posunięcia Zarządu Miejskiego bądź podniosły bezpośrednio tempo wzrostu bądź zniwelowały straty, jakie na skutek zamknięcia niektórych źródeł podatkowych dochody miejskie poniosły (strata podatku ładunkowego, wojskowego, obniżka dodatku od podatków spożywczych i inne).

W r. 1935 Zarząd Miejski zdecydował się na zwiększenie obciążenia podatkowego nieruchomości, podnosząc dodatek do państwowego podatku od nieruchomości z 57½% na 100%. Przyczyniło się to do wzrostu wpływów z tego dodatku o ca 4,5 miln. zł. W tym samym roku wprowadzono dodatek miejski do państwowego podatku od energii elektrycznej, uzyskując z tego źródła ca 400 tys. zł dochodu. Podwyższenie pierwszego dodatku do maksymalnie dozwolonych stawek oraz wprowadzenie drugiego — właściwie wyczerpuje wszelkie uprawnienia, jakie w dziedzinie samodzielnej polityki podatkowej, prowadzonej pod kątem pełnego wykorzystania źródeł podatkowych, posiada Zarząd Stolicy. Poważnie, bo o ca 5 miln. zł [1]) podniósł w r. 1936/37 dochód z danin, podatek specjalny od wynagrodzeń pracowników miejskich, z którego wpływów zrezygnował na rzecz samorządów Skarb Państwa. W następnych latach osłabiono efekt finansowy tego podatku, zwracając

[1]) Pełny wymiar w/g stawek, obowiązujących do 31.III.1938 powinienby przynieść ca 7 miln. zł.

pracownikom w formie „pożyczek bezterminowych" coraz większą jego część. To też w roku bieżącym realne wpływy z tego źródła skurczyły się do ca 500 tys. zł. W tym wypadku Zarząd stolicy poszedł za przykładem niektórych przedsiębiorstw państwowych, monopoli oraz innych instytucji publicznych, ulegając naciskowi sfer pracowniczych.

Odpowiedni wzrost wpływów — z ca 4,2 miln. zł w r. 1933/34 na ca 5,5 miln. w r. 1937/38 — obserwujemy również w grupie opłat, a mianowicie w opłatach, pobieranych za czynności administracyjne (opłaty od planów budowlanych, pomiarowe, od rejestracji rowerów itp.), za korzystanie z urządzeń dobra publicznego (za zużycie bruków, wpisy szkolne, za wstęp do muzeów, do Zoo itp.).

Natomiast osłabły cokolwiek — z ca 5 miln. zł w r. 1933/34 na ca 4,5 miln. zł w r. 1937/38 — wpływy z eksploatacji majątku miejskiego (z domów miejskich, z gruntów, hal targowych itp.). Zdaje się, że do obu powyższych źródeł dochodu Zarząd Miejski w ostatnim czteroleciu nie miał podejścia wyłącznie fiskalnego, o czem świadczyłyby obniżki względnie skasowanie pewnych opłat (muzea, rejestracja rowerów i inne), chociaż w niektórych wypadkach potrafił wzmóc ich wydajność — przypuszczać należy, że przez bardziej zdecydowaną egzekucję.

Wobec tego, że w zakresie danin publicznych obecny system finansów komunalnych pozostawia samorządom bardzo ograniczone możliwości prowadzenia samodzielnej polityki fiskalnej, szukają one uzupełnienia dochodów niezbędnych do finansowania gospodarki publicznej w dochodach z przedsiębiorstw własnych. Tą drogą w ostatnich latach idą wszystkie samorządy miejskie, dysponujące poważniejszymi przedsiębiorstwami użyteczności publicznej, tą drogą poszła również i stolica. Dochody, czerpane z przedsiębiorstw miejskich na finansowanie wydatków zwyczajnych stolicy, stanowią obecnie ca 24% ogólnej sumy zwyczajnych dochodów: w r. 1933/34 wynosiły ca 17,5 miln. zł, a w r. 1937/38 wzrosły do ca 25 miln. zł.

Niewątpliwie mamy tu do czynienia z rezultatem świadomej polityki Zarządu Miejskiego, podchodzącej zresztą do problemu wykorzystania przedsiębiorstw miejskich bardzo wszechstronnie. Odpowiednia polityka idąca po linii obniżek i racjonalnego zróżniczkowania taryf i opłat, łącznie z ogólną poprawą koniunktur dodatnio wpłynęła na wzrost i upowszechnienie świadczeń przedsiębiorstw, rozszerzenie zasięgu działania (nowe linie tramwajowe i autobusowe, rozszerzona sieć wodoc., kanaliz., gazowa i elektryczna), dostarczyła przedsiębiorstwom nowych odbiorców. Nic dziwnego, że od r. 1935 obserwujemy obok wzrostu produkcji wzrost wpływów brutto, przy jednoczesnej obniżce kosztów stałych (o czem była mowa wyżej). Stąd możliwości coraz to silniejszego wykorzystywania dochodów przedsiębiorstw na finansowanie innych agend gospodarki publicznej. Możliwości te znakomicie rozszerzyły się od czasu przejęcia przez Zarząd Miejski od koncesjonariusza francuskiego Elektrowni Warszawskiej, wypracowującej rocznie ca 35 miln. wpływów brutto.

Jasne jest, że stosownie do wysokości dochodów własnych, możliwych do osiągnięcia przez pełne wykorzystanie wszelkich uprawnień do bezpośredniego obciążenia płatnika, przez odpowiednie bardzo intensywne wzmocnienie dochodowej wydajności przedsiębiorstw, przez zdyskontowanie koniunkturalnego wzrostu dochodów, ustalać się musiała wysokość wydatków, jakie w ramach samowystarczalności i równowagi mogły być z budżetu zwyczajnego dokonywane. Obecną maksymalną wydajność własnych zwyczajnych źródeł dochodowych Warszawy możemy w przybliżeniu szacować na 100 do 105 miln. zł. Jak widzimy, rozpiętość możliwości dochodowych jest stosunkowo niewielka i, zdaniem naszym, w granicach obecnie obowiązujących uprawnień finansowych samorządu miejskiego rozszerzyć dałaby się tylko w tym wypadku, gdyby Zarząd Miejski zaniechał częściowego finansowania inwestycji z dochodów przedsiębiorstw, drenując te ostatnie jeszcze silniej na finansowanie wydatków administracyjnych budżetów zwyczajnych.

* * *

Obok zabiegów finansowych, idących po linii uzyskania samowystarczalności w zakresie gospodarki zwyczajnej, Tymczasowy Zarząd Miejski musiał przeprowadzić likwidację bardzo przykrych zobowiązań krótkoterminowych, ciążących na finansach Stolicy w wyniku deficytów z okresów poprzednich. Zobowiązania te na kwiecień 1934 r. wynosiły ca 64,5 min. (bez zobowiązań z tytułu strat Zakładów Zaopatrywania). Główną rolę w likwidacji, a raczej zmianie charakteru powyższych zobowiązań odegrały układy konwersyjne z instytucjami kredytowemi (B. G. K., Z. U. S., K. K. O. i inne), które zasilały finanse Stolicy pożyczkami krótkoterminowemi. Układami tymi objęto ca 40 miln. zł, ca 13 miln. zlikwidowano w drodze wewnętrznych rozrachunków i przez spisanie z list wierzycieli nieaktualnych należności i wreszcie ca 11 miln. zł pokryto: z rezerw jakie wytworzyły się w przedsiębiorstwach miejskich na skutek waloryzacji po niższym kursie pożyczki amerykańskiej, obciążającej te przedsiębiorstwa, z nadwyżek budżetowych za ostatnie 4 lata (ca 1 miln.), z dotacji Kom. Fund. Poż. zapisu (0,8 miln. zł) oraz z zaległych należności od Skarbu Państwa.

Również niepoślednią rolę w porządkowaniu zadłużenia krótkoterminowego i likwidacji starych niedoborów odegrał sfinalizowany w r. 1935 rozrachunek pomiędzy Skarbem Państwa i Zarządem Miejskim z tytułu wzajemnych zobowiązań i pretensji, nagromadzonych od r. 1918. Saldo dodatnie na rzecz miasta w wyniku rozrachunku wyniosło ca 16,3 miln. zł. Skarb na pokrycie tego salda wystawił Zarządowi Miejskiemu skrypty dłużne na kwotę 20 miln. zł (wliczając w to 3½% odsetek uregulowanych z góry); skrypty realizowane będą w ciągu 10 lat.

Silne scentralizowanie polityki finansowej, świadomy i duży wysiłek w kierunku rozwikłania zagmatwanych rozrachunków wewnętrznych i zewnętrznych oraz zrozumienie sytuacji stołecznego samorządu i dobra wola ze strony głównych wierzycieli —

oto podstawowe czynniki sukcesu, osiągniętego przez Tymczasowy Zarząd Miejski na odcinku likwidacji bolesnych skutków poprzedniej, nadmiernie zdecentralizowanej i deficytowej gospodarki finansowej.

*

* *

Pozostaje wreszcie do oświetlenia problem sfinansowania wielkich prac inwestycyjnych dokonanych przez Tymczasowy Zarząd Stolicy. Miarą wysiłku finansowego, jakiego dokonano w okresach 1934/35 — 1937/38 będzie kwota ca 120 miln. wydatków nadzwyczajnych budżetu administracyjnego i przedsiębiorstw; do tego dochodzi jeszcze kwota ca 15 miln. kwot przeinwestowanych przez Elektrownię Warszawską po jej przejęciu od koncesjonariusza.

Rekordowym pod względem wydatków nadzwyczajnych jest sezon bieżący (r. 1938): do listopada br. wydatkowano ca 46 miln. w budżecie administracyjnym i przedsiębiorstw, inwestując jednocześnie w elektrowni za kwotę ca 16,9 miln. zł. W ten sposób Tymczasowy Zarząd Stolicy przez cały okres swej działalności musiał wynaleźć środki na sfinansowanie wydatków nadzwyczajnych *bliskich w chwili obecnej kwoty 200 miln. zł* (łącznie z wydatkami Elektrowni, obliczanymi na ca 32 miln. zł).

Jeśli wyjdziemy z założenia, że podstawy finansowej wszelkich inwestycji i wydatków majątkowych należy szukać w pierwszym rzędzie w środkach wygospodarowanych we własnym zakresie, to przyznać musimy, że podstawa ta w Warszawie, tak samo jak zresztą i w innych samorządach polskich, była niezbyt szeroka. Budżety zwyczajne przy najdalej idących oszczędnościach w obsłudze potrzeb bieżących mogły odrzucić na pokrycie wydatków nadzwyczajnych kwoty nie przekraczające w ciągu pięciu lat 7 — 8 miln. zł. Z przedsiębiorstw (poza Elektrownią) wyciśnięto ca 17 miln. (tylko elektrownia jak dotychczas finansuje swoje inwestycje całkowicie z własnych funduszów inwestycyjnych); parę milionów uzyskano od właścicieli nowych nieruchomości za udział przy zakładaniu wodociągów i kanałów, parę — ze sprzedaży obiektów majątkowych. Jak z tego wynika głównym źródłem finansowania wydatków nadzwyczajnych musiały być środki napływające z zewnątrz. To też przy pomocy pożyczek różnego typu i dotacji sfinansowano wydatków na kwotę ca 125 miln. zł (w tem z dotacji ca 13,5 miln. z) na ogólną sumę wydatków nadzwyczajnych ca 165 miln. (bez elektrowni), czyli około 75%. Kredytu długo- i średnioterminowego dostarczał Warszawie przede wszystkim rynek sztywny i Fundusz Pracy; z długoterminowych pożyczek zagranicznych w tym okresie Warszawa nie korzystała wcale. Ponadto z roku na rok przeprowadzano niewielkie operacje kredytowe na wolnym rynku, wykorzystując kredyt towarowy (asfalty) — średnioterminowy — od 2 do 3 lat).

Jaki wpływ wywarły te nowe poważne obciążenia na sytuację finansową Stolicy? Ścisła ocena jest dosyć trudna i może trochę przedwczesna: obecnie w r. 1938 Warszawa przeżywa szczytowy w porównaniu do poprzednich 4 lat okres działalności inwestycyjnej. Jego wyniki finansowe będzie można podsumować dopiero w kwietniu 1939 r.

Opierając się jednak na skutkach finansowych działalności inwestycyjnej 4 lat poprzednich, można mieć nadzieję, że i wysiłki tego roku również nie poderwą sytuacji finansowej miasta.

Jakież są te skutki?

Obsługa długów wzrosła. Stanowiła ona (w budżetach administracyjnych i przedsiębiorstw) w r. 1934/35 kwotę ca 18,3 miln. zł, w budżetach zaś na rok 1938/39 zapreliminowano 22,3 miln. zł (z tego ca 7 miln. płacą przedsiębiorstwa), jednak w międzyczasie kwoty budżetu administr. wzrosły z 89,5 miln. zł — na 102 miln. zł, przedsiębiorstw zaś (bez elektrowni) ze 107,2 miln. na 120 miln. zł. To też stosunek procentowy obsługi długów do wysokości dochodów został prawie utrzymany. Pamiętać jednak należy, że do wzrostu wydatków na obsługę długów przyczyniły się nie tylko nowe obciążenia dłużne, ale również w poważnym stopniu konwersja zobowiązania z tytułu niedoboru poprzedniego okresu.

Ma się rozumieć, że szybkie tempo i duży rozmach prac gospodarczych przy bądź co bądź ograniczonych *własnych* możliwościach finansowych, zmusiły Zarząd Miejski do całkowitego wyczerpywania wszelkich środków i nie pozwoliły na tworzenie jakichkolwiek rezerw w postaci kapitałów obrotowych względnie zapasowych, które stanowiłyby pewną asekurację na wypadek spadku koniunktury.

Nie bez znaczenia dla oceny przyszłych możliwości finansowych i gospodarczych samorządu stolicy jest bardzo poważny wzrost majątku trwałego; za szczególnie zaś pomyślną okoliczność należy uznać włączenie do masy majątkowej samorządu stolicy majątku Elektrowni Warszawskiej.

Powyższa analiza podstawowych elementów polityki finansowej Tymczasowego Zarządu Stolicy doprowadza nas do następujących konkluzji:

1. Tymczasowy Zarząd Miejski uporządkował gospodarkę finansową oraz zlikwidował skutki niedoborów z poprzedniego okresu w pierwszym rzędzie dzięki pomyślnym konwersjom i układom z wierzycielami.

2. Wykorzystał bardzo intensywnie koniunkturę gospodarcza, wydobywając na cele inwestycyjne przede wszystkim poważne środki finansowe z zewnątrz, oraz niewspółmiernie mniejsze z własnych źródeł dochodowych.

3. Powiększył wydatnie majątek miasta, nie powodując jednak dzięki korzystnym operacjom kredytowym, do okresu 1938 r. wielkiego wzrostu wydatków na obsługę długów.

4. Tymczasowy Zarząd Miejski nie pozostawia wprawdzie rezerw finansowych, czy to pod postacią aktywów łatwo dających się upłynnić, czy też pod postacią dostatecznie elastycznych, a jeszcze nie całkowicie wykorzystanych źródeł dochodowych (chyba tylko podatek drogowy w 1938 r. uchwalony przez Izby Ustawodawcze).

5. Ale pozostawia po sobie — wielki program prac inwestycyjnych w wielu wypadkach rozpoczętych, zaplanowanych i przez szeroko uświadomioną opinię publiczną bezwzględnie oczekiwanych. Przy tem należy sobie zdać sprawę, że realizacja powyższego programu w dotychczasowym tempie będzie możliwa o tyle, o ile wydajność dopływu środków finansowych z zewnątrz nie ulegnie poważniejszemu zahamowaniu.

Reasumując stwierdzam, że politykę finansową Tymczasowego Zarządu Miejskiego Stolicy należy oceniać pozytywnie. Przy dużym dynamizmie gospodarki publicznej, obliczonej na realizację wielkiej konstruktywnej przebudowy stolicy, układano programy wykonawcze w ten sposób, że zabiegi i gromadzenie odpowiednich środków finansowych były dobrze zsynchronizowane z zamierzonemi pracami. Wszelkie finansowe środki nadzwyczajne zużywane były zgodnie z ich inwestycyjnym przeznaczeniem.

Nie mogło obyć się bez ofiar: — trzeba było do pewnego stopnia zahamować rozszerzanie skali i poziomu zaspokajania bieżących, powszednich niejako, potrzeb publicznych, wykorzystując wszelkie rezerwy i oszczędności na realizację planów wielkiej przebudowy.

Dzięki bardzo dużemu nakładowi energii i zapobiegliwości wydobyto wielkie, jak na nasze warunki, środki finansowe. Ale nie możemy się łudzić, że dalsze finansowanie czy to bieżących, czy też inwestycyjnych potrzeb stolicy będzie łatwe, że gospodarka na Ratuszu potoczy się wygodnie i spokojnie. Wprost przeciwnie! Wielkie ambicje twórcze — wymagają wielkich środków finansowych. Nie ma ich w płynnych środkach rezerwowych, trzeba je będzie wygospodarować w oszczędnościach.

Ten, kto obejmie władzę na Ratuszu, będzie musiał nadal w ciężkim trudzie wypracowywać każdą złotówkę, aby ją niezwłocznie zużyć na realizację Warszawy Jutra. A ponadto będzie musiał niezależnie od koniunktury zadość uczynić postulatowi samowystarczalności finansowej.

Bitwa o stolicę godną Odrodzonej Polski trwa i daleka jest jeszcze od ukończenia. O jej wyniku tak jak dotychczas zdecyduje szlachetny zapał, dobra wola i gospodarność.

CZESŁAW KOROLKO

POTRZEBY MIESZKAŃCÓW

Z szerokiego wachlarza potrzeb ludzkich, obsługiwanych przez czynnik publiczny, pewna część przydzielona została trosce samorządu. Nie jest to bynajmniej wiązanka w stu procentach logiczna. Dlaczego np. dostarczenie nauczyciela należy do Państwa, a lokalu szkolnego do gminy — daje się wytłumaczyć tylko częściowo i tylko na tle historycznego przebiegu. Miasto obsługuje pewien *umownie ustalony* zakres potrzeb ludzkich.

Rozważania na temat zaspokojenia potrzeb przez samorząd muszą być w konsekwencji utrzymane w ramach tego konwencjonalnego zakresu, bez próby sprowadzania do jednego mianownika całości potrzeb, obsługiwanych na tym samym terenie przez różne czynniki publiczne.

W samorządzie *zagospodarowanym* problem zaspakajania potrzeb ludzkich sprowadza się do zagadnienia jakości i kosztu obsługi samorządowej. W warunkach całej prawie Polski, a w tym rzędzie Warszawy, pojawia się, a nawet dominuje inny problem: zaspokojenia (lepiej czy gorzej może tu być chwilowo na drugim planie) *całości* elementarnych potrzeb, za które samorząd odpowiada. Mówiąc prościej, sprawa wygody pasażerów tramwajowych, a nawet do pewnego stopnia kosztu biletu tramwajowego jest zagadnieniem mniejszej miary, niż kwestia fizycznego umożliwienia pewnym dzielnicom korzystania z tramwaju, kwestia rozszerzania sieci tramwajowej.

Twierdzenie powyższe nie jest oczywiście żadnym aksjomatem. Jest to poprostu rozstrzygnięcie pewnego konfliktu celów, opowiedzenie się za pewną ich hierarchią. Czem stanowisko to można uzasadnić? i czy znajduje ono odzwierciedlenie w polityce Warszawy?

Odrzućmy przede wszystkim możliwość, by miasto w swojej obsłudze potrzeb mieszkańców miało się powodować kryterium maksymalnej rentowności. Nie godzi się to nie tylko z pojęciem „użyteczności publicznej", nie harmonizuje z faktem, iż miasto dostarcza „artykułów pierwszej potrzeby", a więc tych, których ceny w tej lub innej formie są już dziś powszechnie na świecie regulowane, przede wszystkim jednak — rzecz dla ekonomisty decydująca — stosowanie takiego kryterium jest niedopuszczalne przy monopolu, a samorządy są z reguły monopolistami.

Jako punkt wyjścia pozostaje zatem koszt własny plus „godziwy zysk". Jeśli miasto pobiera wyższe ceny za swoje świadczenia, a jednocześnie inwestuje, możemy uważać, że poświęca ono cel możliwie najtańszej obsługi części dzisiejszych mieszkańców na rzecz możności obsłużenia *tanio wszystkich* mieszkańców — z czasem. Bez wątpienia tak właśnie w pewnej mierze kształtuje się sytuacja w Warszawie. Pomimo obniżenia kosztów świadczeń miejskich udział przedsiębiorstw komunalnych w dochodach budżetu zwyczajnego, rośnie. Stąd łatwość zarzutu niedoceniania celu maksymalnej taniości obsługi, stąd możność doszukiwania się antyspołecznych cech w budżecie (jasną jest bowiem rzeczą, że podatek pośredni zawarty w cenie biletu tramwajowego, gazu, elektryczności czy wody rozkłada się z punktu widzenia

uboższych grup ludności znacznie mniej korzystnie, niż podatki bezpośrednie).

Odparowanie tych pozornie słusznych wątpliwości wydaje się rzeczą łatwą, zwłaszcza jeśli sobie uprzytomnimy, że w niektórych dziedzinach (np. tramwaje) już przy obecnych cenach istniejąca dziś zdolność „produkcji usług" jest całkowicie wykorzystana, że zwiększenie rzeszy konsumentów przez obniżkę ceny jest techniczną niemożliwością przed dokonaniem rozbudowy. Z punktu widzenia społecznego musimy interesom niewątpliwie licznych rzesz, dla których obciążenie kosztami usług samorządu jest dotkliwe, przeciwstawić interesy niemniej licznych, czy nawet liczniejszych grup, które z tytułu niedostatecznego rozwoju sieci tramwajowej, kanalizacyjnej, itp., w ogóle z niej korzystać nie mogą. Świadczenie, umiarkowane zresztą, pierwszej grupy na rzecz drugiej, a więc poświęcenie jakeśmy to powiedzieli maksymalnej taniości usług na rzecz celu upowszechnienia tych usług, wydaje się rozwiązaniem słusznym, o ile — jak to właśnie ma miejsce — nie można zastosować rozwiązania bez wątpienia lepszego, a więc sfinansowania dostatecznie pokaźnych prac inwestycyjnych wyłącznie z wpływów podatkowych i operacji kredytowych.

Pod względem gospodarczym ten sposób przesuwania cząsteczki dochodu społecznego jest jeszcze o tyle interesujący, że pewna część inwestycji wykazuje, o czem parę słów dalej, wyjątkowo wysoką rentowność pośrednią. Koniec końców zresztą nie jest to nic innego, jak to, co się w tej chwili w Polsce dokonywa na wielką skalę wszędzie, t. zn. przymusowa kapitalizacja dla celów zagospodarowania.

Wspomniałem wyżej, że mimo niewątpliwego priorytetu celów inwestycyjnych Zarząd Miejski szereg opłat za świadczenia obniżył, czyli szedł po linii rozwiązań kompromisowych. Należało by tu dodać, że zniesione zostały opłaty tam, gdzie efekt finansowy był niewspółmiernie niski do znaczenia udzielanych świadczeń (zniesienie opłat w muzeach, przynoszących zupełnie śmieszną sumę), i wydatnie obniżone tam, gdzie nastąpił zdecydowany przerost czystego fiskalizmu (opłaty targowe). Tyle o zagadnieniu obsługi potrzeb bieżących, które zresztą poza aspektem ceny należało by jeszcze rozważyć pod kątem sprawności czy jakości. Ten kąt widzenia wykracza już jednak poza możliwości ekonomisty, natomiast każdy obywatel sam potrafi odpowiedzieć sobie na pytanie, czy w biurach Zarządu Miejskiego jest załatwiony lepiej czy gorzej (sądzę, że lepiej), czy usługi gospodarcze, dostarczane mu dziś za cenę zniżoną uległy pogorszeniu, czy też pewnej poprawie, czy konstatuje troskliwość przedsiębiorstw miejskich o ich odbiorców (sądzę, że tak).

Przechodzę do zagadnienia drugiego, do tego problemu, który jest oczkiem w głowie obecnego Zarządu Miejskiego i któremu również piszący te słowa przyznaje prymat, a więc do sprawy nowych inwestycji.

Przyjmuję jako rzeczy udowodnione, że w Warszawie zostało zrobione wiele i że większa część prac została zrobiona dobrze. Cóż właściwie znaczy to stwierdzenie z chwilą, kiedy brak nam jakiegoś absolutnego miernika dla oceny co jest „wiele" i co jest „dobrze"? Oczywiście miernik porównawczy przede wszystkim.

Jest rzeczą nietrudną udowodnić, że postępy w zagospodarowaniu Warszawy są w okresie ostatnim szybsze niż w okresach poprzednich (nawet z uwzględnieniem różnic koniunkturalnych) i że efektywność ponoszonych nakładów jest większa (oczywiście również z uwzględnieniem tych różnic). Te proste porównania są jednak tylko podstawą oceny zamieszczonej na wstępie, można bowiem stwierdzić postęp, ale nadal uważać wyniki za jaskrawo niezadawalające. Wykazać, że dokonany postęp jest istotnie znaczny, można bądź przez szczegółową analizę każdego odcinka, zestawienie go ze stanem idealnym, bądź w gruby i uproszczony sposób przez porównanie postępu w badanym przedmiocie z tempem rozwoju, obserwowanym gdzie indziej.

W odniesieniu do Warszawy i jedna i druga metoda rozumowania prowadzi do oceny pozytywnej. Oczywiście jeśli się zestawi całą sumę nakładów inwestycyjnych ostatniego czterolecia, wynoszącą 121 milionów złotych, z całokształtem potrzeb inwestycyjnych, szacowanym przez Zarząd Miejski na miliard, można by napozór dojść do odmiennego wniosku. Osiem czteroleci, trzydzieści parę lat zanim Warszawa zostanie jako tako zagospodarowana, to byłby rzeczywiście okres ogromny. Sądzę jednak, że w rzeczywistości przy zachowaniu dzisiejszego stylu gospodarki i tempa pracy okres ten obliczać można na lat kilkanaście zaledwie. Miliardowy program Zarządu Miejskiego z natury rzeczy obejmuje pewne szacunki zaokrąglone w górę i pewne pozycje istotne, lecz dające się przesunąć na później (np. kolej podziemna). Równocześnie zaś wolno przewidywać, że w miarę strukturalnego wzrostu dochodu społecznego w Polsce nastąpi conajmniej równoległy, jeśli nie wyższy, wzrost dochodów budżetowych i sum kredytowych, przeznaczanych na inwestycje.

Na porównawczym tle całości życia polskiego kilkunastoletni okres realizacji pełnego planu zagospodarowania Warszawy uznać można za okres krótki, jeden z krótszych, ba, można by się w tem nawet dopatrywać pewnego uprzywilejowania potrzeb stolicy. Nie mówiąc bowiem o potrzebach inwestycyjnych rosnących w nieskończoność, (np. inwestycje przemysłowe), trzeba stwierdzić, że w szeregu pierwszoplanowych spraw, takich, jak sieć drogowa, melioracje podstawowe, itp., okresy przewidywane dla pełnego zaspokojenia dziś dających się obliczyć potrzeb, są niepomiernie dłuższe niż lat kilkanaście.

Jeśli zamiast tego porównawczego generalnego miernika zastosujemy mierniki odcinkowe i zestawimy wydatki inwestycyjne czterolecia z generalnym planem Zarządu Miejskiego to okaże się, że w niektórych działach prace ostatnio zrealizowane stanowią wyżej 10% całości zamierzeń, (ulice, place i mosty ca 10%, gazownia, elektrownia ca 15%) że w jednym dziale (budownictwo szkolne) plon czterolecia przekracza ćwiartkę generalnego programu i że we wszy-

stkich innych dziedzinach w każdym razie lata ostatnie dały pomniejszenie niedoborów inwestycyjnych o kilka procent, dały zmiany dość duże, by móc je obserwować nawet gołym okiem, bez uciekania się do wskaźników cyfrowych.

Dlatego posiadając tylko bardzo ogólnikową znajomość gospodarki miasta stołecznego Warszawy mam jednak odwagę przyjąć jako fakt udowodniony, że zrobiono wiele, i na zasadzie innego analogicznego schematu rozumowania — że zrobiono dobrze.

Czy jednak uczyniono słusznie, wykonywując właśnie te, a nie inne prace inwestycyjne, ustalając tak, a nie inaczej proporcje wydatków na poszczególne grupy inwestycyjne. Ponownie natrafiamy na zagadnienie hierarchii celów, tym razem *wewnątrz* problemu inwestycji. Jednocześnie jest to sprawa, stanowiąca najczęściej bazę wypadową ataków na Zarząd Miejski — cóż bowiem innego przeciwstawić można niezaprzeczalnym osiągnięciom, jak nie twierdzenie, że „należało robić nie to, co zresztą zrobiono dobrze, lecz właśnie co innego".

Jest kilka klasycznych kryteriów, które polityka gospodarcza stosuje dla ustalenia hierarchii potrzeb inwestycyjnych. Najpierw inwestycje produkcyjne, potem inwestycje mające zaspakajać potrzeby konsumcyjne; najpierw inwestycje o największej rentowności czy to bezpośredniej, czy pośredniej, potem o rentowności mniejszej. Do tych kryteriów generalnych dochodzi pewna ilość kryteriów czysto praktycznych, administracyjnych, jeśli się tak można wyrazić. A więc na pierwszym planie musi się postawić takie potrzeby, które wymagają stosunkowo niewielkich sum, a przeto mogą być w pełni zaspokojone w jakimś krótkim okresie, na drugim planie potrzeby tak olbrzymie, że przy największym nawet wysiłku można by doraźnie rozwiązać tylko drobny ich ułameczek.

Sądzę, że próba budowania hierarchii miejskich potrzeb inwestycyjnych w oparciu o powyższe kryteria prowadzić musi do wyników miernych, jeśli nie znikomych. Bezpośrednio produkcyjny cel ma tylko mała część tych inwestycji — dane kryterium będzie więc mało użyteczne. Istnieje postawa do mniemania, że najwyższą rentowność pośrednią i największą zdolność wywoływania wtórnych procesów inwestycyjnych, mają te właśnie inwestycje (budowa ulic), które nie dają żadnej renty bezpośrednio. A ponieważ nie mamy żadnego sposobu obliczania rentowności pośredniej, a tem bardziej żadnego sposobu porównywania tej rentowności z rentownością bezpośrednią, znów dane kryterium jest mało użyteczne. Użyteczność poszczególnych inwestycji miejskich jest, jak sądzę, dość współmierna, charakter ich, — przynajmniej lwiej części — pokrewny. Stąd wydaje mi się, że wysoce użyteczne dla miejskiej polityki inwestycyjnej kryterium jest dążenie do *współmierności* zaspokojenia poszczególnych potrzeb. Innymi słowy wydaje mi się słuszne wysuwanie w pracach inwestycyjnych na pierwszy plan odcinków najbardziej zaniedbanych, przy równoległym zresztą posiłkowaniu się również i innemi ocenami.

Miejskiej polityki inwestycyjnej nie sposób oprzeć na dedukcyjnie zbudowanej hierarchii potrzeb, wyraźnie i jaskrawo różnicującej wszystkie te potrzeby. Rozsądna polityka inwestycyjna samorządu musi się kierować splotem równoległych, niezależnych od siebie motywów, rozstrzyganych empirycznie.

Zarówno analiza samego procesu inwestycyjnego w Warszawie, jak komentarzy Zarządu Miejskiego, prowadzi do wniosku, że tak właśnie rzecz układa się w stolicy. Ze szczególniejszą siłą występuje bezwątpienia wspomniane przez nas kryterium nacisku przede wszystkim na odcinki najbardziej zaniedbane (wystarczy porównać inwestycje w zakresie kanalizacji, gdzie tylko 40% domów i ulic jest objętych siecią z inwestycjami wodociągów, gdzie zasięg sieci wynosi 72%). Równocześnie w odniesieniu do budowy nawierzchni i chodników gra zarówno motyw zaniedbania, (62% ulic zabrukowanych), i motyw rentowności pośredniej (oszczędności na taborze i trakcji oraz silny wpływ na wtórne inwestycje). Olbrzymi wyskok w zakresie budowy parków zapewne pochodzi zarówno z motywu zaniedbania, jak z taniości tego działu prac, który przy obecnej olbrzymiej relatywnie skali pochłonął w ostatnim czteroleciu nie więcej, jak 1% budżetu inwestycyjnego. Budowa lokali szkolnych to zapewne motyw rentowności bezpośredniej itp. itp. Rezultatem uwzględnienia tego zespołu motywów jest bardzo znaczna zmiana, nie tylko skali, lecz i rozkładu działań inwestycyjnych. Zmiana tak znaczna, że niewątpliwie wynikająca z działań świadomych. Ilustracją tej zmiany jest poniższa tablica, w której rozmiar rzeczowy prac inwestycyjnych okresu 1926—30 przyjęty został za 100.

Inwestycje w okresie 1934—38

Parki	1500
Kanały	220
Chodniki	200
Szkoły	190
Nawierzchnie ulic	162
Sieć gazowa	124
Wodociągi	80

Im mniejszą rolę w pracach inwestycyjnych miasta odgrywać mogą kryteria dedukcyjne, im bardziej wolno i należy posługiwać się tu kryteriami czysto utylitarnymi, tam większego znaczenia nabiera kwestia nie co zrobiono, lecz jak zrobiono.

Owo „jak" to nie tylko kwestia kosztowności bezpośredniej robót, kwestia nakładu pieniężnego na jednostkę rzeczową danej roboty. Poszczególne prace inwestycyjne miejskie na ogół wiążą się ze sobą dość ściśle, a już zupełnie organicznie związana ze sobą jest ta cała ich część, którą nazwać można podstawowym urządzeniem terenu. A więc: ulice, komunikacja uliczna, kanalizacja, wodociągi, gaz i elektryczność. Niestety w mej skromnej znajomości gospodarki miejskiej nie dysponuję materiałami po-

zwalającymi udokumentować twierdzenie, iż stopień harmonizacji wyżej wymienionych działań jest dziś bez porównania wyższy niż w latach poprzednich. Wystarczy jednak chodzić i jeździć po Warszawie, aby zobaczyć, że nastąpił tu gruntowny przełom. Nie tylko w postaci uniknięcia tego marnotrawstwa, którego świadkami byliśmy wówczas, kiedy to rujnowano świeżo położone nawierzchnie, po to, by położyć szyny tramwajowe, a następnie rujnowano jedno i drugie, by założyć kanalizację.

Może być jeszcze szereg innych postaci marnotrawstwa. Jedna z nich, to wykonanie tylko cząstki z pośród bukietu ściśle związanych ze sobą prac inwestycyjnych. A więc np. urządzenie na pewnym terenie ulic przy zaniedbaniu sprawy kanalizacji i oświetlenia nie pozwoli jeszcze na zabudowę danego terenu. Chociaż buchalteryjnie nie dadzą się ustalić żadne straty, ale dokonany wkład kapitału będzie przez długi okres wkładem martwym, chociaż w zasadzie dana inwestycja nie będzie inwestycją fałszywą. Nawiasowo podkreślić należy, że ryzyko inwestycji fałszywych przy obecnym stanie niedoinwestowania Warszawy jest nikłe.

Drugą formą marnotrawstwa, która podobnie jak i poprzednia zmalała, jeśli nie znikła w pracach obecnego Zarządu Miejskiego, jest niedocenianie potrzeb przyszłych. Nawet zupełnie powierzchowna obserwacja obecnych prac inwestycyjnych wskazuje, że są one planowane z rozmachem, często na wyrost w stosunku do potrzeb dnia dzisiejszego. Doświadczenia lat ubiegłych i doświadczenia innych stolic europejskich wskazują, że nawet bardzo śmiałe przewidywania rozwoju potrzeb zwykle po kilku czy kilkunastoletnim okresie okazują się realne, a nawet nieraz skromne i że wbrew mentalności sklepikarskiej śmiałość i rozmach jest w tej dziedzinie synonimem oszczędności.

Podsumowując tok rozumowań powyższych dochodzimy do następujących wniosków:

a) Samorząd działa w umownie ustalonym zakresie potrzeb, z czego nieuchronnie wynikać muszą dysproporcje (na plus lub minus samorządu), pomiędzy zaspokojeniem potrzeb, leżących w zakresie działania samorządu i poza tem zakresem.

b) Wewnątrz tego zakresu, który mu jest powierzony, samorząd powodować się musi rozstrzygnięciami empirycznymi, uwzględniającymi cały szereg równoległych kryteriów.

c) W warunkach polskich, dążenie do zdobycia możności zaspakajania całości elementarnych potrzeb ogółu mieszkańców musi być postawione na plan pierwszy przed zagadnieniem taniości dziś świadczonych usług. Oczywiście znów z uwzględnieniem potrzeby praktycznych kompromisów.

d) Ponad stronę programową działalności inwestycyjnej samorządu urasta problem gospodarności tzn. sprawnego i taniego w najszerszym znaczeniu tego słowa wykonania danego programu.

Przechodząc od tych sformułowań ogólnych do rekapitulacji ocen gospodarki warszawskiej stwierdzić musimy, że punkt a) wyjaśnia i usuwa szereg pozornie słusznych zarzutów, jakie mogą się narzucać w stosunku do gospodarki miejskiej. (Np. dlaczego miasto zaniedbuje kwestię budowy domów robotniczych). Sądzę, że musimy również stwierdzić, iż te podstawowe założenia polityki zaspakajania potrzeb mieszkańców przez samorząd, które streściliśmy wyżej w punktach b), c) i d), znajdują pełny wyraz w postawie obecnego Zarządu Miejskiego i co więcej, w realnie już wykonanej pracy [1]).

---

[1]) Z pełną świadomością w artykule powyższym operujemy pojęciem potrzeb mieszkańców, nie zaś pojęciem potrzeb stolicy. Ogólnikowe pojęcie „stołeczności" weszło w obieg dla motywowania pewnej wyższej miary zaspokojenia potrzeb Warszawy niż innych miast.

Wydaje mi się ono podwójnie błędne. Po pierwsze w imię stołeczności zalegalizować można wszelkie działania o czysto reprezentacyjnym charakterze — t.zn. jedyną dziedzinę, gdzie ryzyko zbędnych nakładów jest naprawdę znaczne i gdzie jak sądzę natrafiamy w Warszawie niekiedy na inwestycje „nad stan", inwestycje o efekcie dysproporcjonalnym do ich kosztu. Po drugie pojęcie stołeczności nie daje żadnej miary jak dalece szerzej miałby być zaspakajane potrzeby Warszawy niż innych ośrodków. Tymczasem na to pytanie odpowiedź jest prosta. O tyle o ile dochody mieszkańców Warszawy jako Mieszkańców stolicy są wyższe od dochodów innych ośrodków miejskich w Polsce, t.zn. w granicach legitymowanych poziomem dzisiejszych i przyszłych wpływów. W poziomie tych wpływów już tkwi słuszna miara uprzywilejowania Warszawy. Uprzywilejowanie ponad ten poziom byłoby już niesłuszne.

HENRYK PNIEWSKI

PROBLEM EMERYTALNY STOLICY

Posiadamy w Polsce, o czem wszystkim wiadomo, obszernie rozbudowany system ubezpieczeń społecznych, system, że tak powiem, oficjalny. „Oficjalne" ubezpieczenia społeczne są przedmiotem częstej i naiwnej, niefachowej zwykle krytyki. Stosunek opinii *inteligenckiej* do polskiego systemu ubezpieczeń społecznych jest zadziwiająco jednolity, trudno go inaczej nazwać, jak „lewiatańsko-proletariackim": „obciążenia na rzecz ubezpieczeń są nadmierne, świadczenia, udzielane przez instytucje społeczno - ubezpieczeniowe są zbyt niskie".

Nie będziemy się tu dłużej zatrzymywali nad systemem oficjalnym. mamy bowiem zamiar słów kilka poświęcić „systemowi nieoficjalnemu", chcemy zająć się pewnym „wstydliwym zakątkiem" naszej polityki społecznej. Co rozumiemy tu przez „system nieoficjalny"? Poza obrębem ubezpieczeń społecznych istnieje olbrzymia sieć urządzeń emerytalnych, zorganizowanych w sposób ubezpieczeniowy, quasi-ubezpieczeniowy, albo zgoła nieubezpieczeniowy, obejmujących pracowników instytucyj prawa publicznego. W tej sieci ogromną rolę odgrywają, oczywiście, emerytury pracowników państwowych i pracowników samorządu terytorialnego.

Nie doceniamy na ogół doniosłości systemu „nieoficjalnego". Mało kto wie o tem, że roczny wydatek na zaopatrzenia emerytalne i pokrewne *(poza* zakresem działania ubezpieczeń społecznych) wynosi ca 425 milionów zł, a więc jest tegoż rzędu, co suma budżetu ubezpieczeń społecznych „oficjalnych", pomimo, że system „nieoficjalny" obsługuje znacznie mniej liczny zakres osób niż system „oficjalny".

Można i należy mówić o błędach „oficjalnego" systemu ubezpieczeń społecznych, jednak zaznaczyć też trzeba, że błędy te nikną po prostu, gdy się je zestawi z rażącemi wadami pierwszego lepszego samorządowego statutu emerytalnego. Statuty te zresztą są ideałem z punktu widzenia, który żartobliwie nazwaliśmy „lewiatańsko - proletariackim", świadczenia emerytalne są zbyt wysokie, składki (o ile istnieje odrębny fundusz emerytalny) są z reguły zbyt niskie. W lekkomyślnym świecie emerytalnych spraw samorządu terytorialnego stolica miała widać ambicje zdobycia rekordu. Odrodzony samorząd stołeczny popisał się fantazyjną lekkomyślnością i nie-fachowością w dziedzinie emerytur miejskich. Jeżeli zaś idzie o okres rządów komisarycznych, to okres ten wypełniony pięknymi rezultatami w różnych dziedzinach gospodarki miejskiej, zwłaszcza w dziedzinie inwestycyj publicznych, nie wniósł w sprawach emerytalnych rezultatów o doniosłości zasadniczej. Nie mamy zamiaru atakować komisarycznych władz miejskich, które właśnie przekazać mają swoje funkcje władzom z wyboru. Atak taki byłby niesprawiedliwością i to aż z kilku względów: 1) lepiej się stało, że tymczasowy Zarząd Miejski skoncentrował swoje zainteresowania na kilku zagadnieniach o maksymalnej doniosłości. 2) Wątpliwe, czy racjonalna reforma samorządowych urządzeń emerytalnych jest możliwa bez uchwalenia specjalnej ustawy, władze miejskie nie miały zaś dostatecznego wpływu w tym względzie na Ciała Ustawodawcze Rzeczypospolitej, 3) W każdym razie zarząd komisaryczny stolicy wskazywał na absurdalność niektórych przepisów emerytalnych. Chcielibyśmy więc tylko i po prostu zwrócić uwagę „nowonarodzonych" ojców miasta na doniosłość problemu emerytalnego.

Wydatki miasta na emerytury i odprawy (budżet zwyczajny + budżet przedsiębiorstw) kształtują się następująco:

Rok budżetowy	Wydatek roczny w mil. zł	Wskaźnik
1933/34	11,9	100,0
1934/35	12,9	108,4
1935/36	16,7	140,3
1936/37	17,0	142,9
1937/38	17,6	147,9
1938/39	17,2	144,5

Liczby emerytur na dzień 1.X.1938 r. wynosiły:

Rodzaj		liczba w tysiącach
emerytury	b. pracowników	4,8
„	wdowie	1,5
„	sieroce	0,8
razem		7,1

Miejski Fundusz Emerytalny obejmuje 19,5 tysięcy osób czynnych. Wydatek ponad 17 milionów zł stanowi w stosunku do całości budżetu miasta kwotę b. poważną. Stosunek ponad 7 tysięcy emerytur do niecałych 20 tysięcy pracowników czynnych nie może być też zlekceważony. *Powstaje pytanie, co będzie w przyszłości?* Należy zbadać przede wszystkim *przyszły przebieg* liczby emerytur i wydatków emerytalnych, co (jeśli abstrahować od przyszłych zwolnień administracyjnych, które należało i należy zredukować do minimum) jest zadaniem na gruncie matematyki ubezpieczeniowej wykonalnym z dokładnością dla praktyki wystarczającą. Należy ponadto obliczyć skapitalizowaną wartość nie tylko emerytur płynnych, ale i ekspektatyw (uprawnień emerytalnych) czynnych pracowników miejskich. Bez tych badań aktuarialnych (ubezpieczeniowo-matematycznych) poważne postawienie problemu emerytalnego

w ogóle nie jest możliwe. Dopiero po zbadaniu stanu obecnego, tj. po sporządzeniu bilansu ubezpieczeniowo-technicznego i *długoterminowych* preliminarzy dochodów i wydatków Miejskiego Funduszu Emerytalnego można się pokusić o opracowanie projektu reformy emerytalnej; o stworzenie racjonalnego systemu emerytalnego.

Na to, aby urządzenie emerytalne posiadało cechę racjonalności powinno ono spełniać poniższy układ postulatów:

I. *Świadczenia powinny w granicach możliwości finansowych i gospodarczych pokrywać uzasadnione potrzeby pracowników, wytwarzane przez ryzyka: śmierci, inwalidności, starości i zwolnienia z pracy.*

II. *Powinna być zapewniona trwała równowaga finansowa wydatków i dochodów.*

III. *Obciążenia na rzecz urządzenia emerytalnego powinny być w przybliżeniu niezmienne w czasie.*

IV. *Urządzenie emerytalne powinno być zarządzane fachowo.*

V. *Urządzenie emerytalne powinno być samorządne(udział przedstawicieli pracowników w zarządzaniu).*

Postulaty te wymagają jeszcze pewnych komentarzy:

Ad I. Świadczenia pieniężne mogą mieć formę dwojaką, mogą być mianowicie periodyczne (renty) i jednorazowe (odprawy). Z punktu widzenia społecznego i gospodarczego najbardziej korzystne wydają się w rozpatrywanym wypadku pewne kombinacje obu rodzajów świadczeń, np. emerytura, złożona z dwu elementów:

a) renty, zależnej od wysokości służbowego uposażenia pracownika i jego stanu rodzinnego, lecz niezależnej od liczby przepracowanych lat,

b) odprawy, zależnej nie tylko od wysokości uposażenia, ale i od liczby lat przepracowanych.

Podobny, ale nie identyczny system świadczeń został zastosowany w ubezpieczeniu górników Zagłębia Dąbrowskiego i Krakowskiego. Sądząc po dotychczasowych doświadczeniach z terenu Zagłębia Dąbrowskiego system ten w odniesieniu do górników wydaje się racjonalny. Nie wynika stąd jeszcze, że byłby on racjonalny w odniesieniu do pracowników miejskich. W każdym razie problem wydaje się godny *zbadania*, gdyż jest on (ze względów o których nie będziemy tu mówili) znaczenie tańszy od systemu „renty rosnącej". Badanie takie należy przeprowadzić odrębnie dla pracowników umysłowych i robotników, gdyż w każdej z tych grup ryzyko roztrwonienia odprawy przedstawia się różnie. Zaznaczyć jednak należy, że polskie systemy emerytalne przywiązują na ogół zbyt wielką wagę do świadczeń periodycznych.

Ad II. Urządzenia emerytalne mają charakter długoterminowy, albo wieczysty. *Roczna* równowaga budżetowa nie wystarcza wcale do stwierdzenia równowagi *trwałej*. Stwierdzenie równowagi trwałej tzw. „technicznej" możliwe jest *tylko* przy pomocy metod matematyki ubezpieczeniowej. Warunkiem koniecznym równowagi technicznej jest dostatecznie liczna zbiorowość osób, objętych danym urządzeniem emerytalnym, wówczas bowiem można oprzeć kalkulację na prawie wielkich liczb. Z powyższego nie wynika wcale potrzeba utworzenia jedynego zakładu emerytalnego samorządu terytorialnego o ogólnopaństwowym zasięgu działania. Liczebność pracowników miejskich stolicy jest wystarczająca na to, aby ją potraktować jako jednolitą całość. Inne związki samorządu terytorialnego są pod tym względem w mniej szczęśliwym położeniu. Jednak i to nie przemawia jeszcze za stworzeniem ogólnego zakładu emerytalnego. Wystarczyłyby, jak się zdaje, zakłady wojewódzkie. Z punktu widzenia sprawności działania i dostosowania systemu i poziomu świadczeń emerytalnych do potrzeb lokalnych, czy regionalnych taka decentralizacja wydaje się wysoce wskazana, zaś z punktu widzenia aktuarialnego jest ona, jak wspomnieliśmy, dopuszczalna.

Ad III. Ze spełnienia postulatu tego zrezygnować wolno tylko wtedy, jeżeli istnieją dostateczne podstawy do mniemania, że systematyczny wzrost (trend rosnący) obciążenia jest dopuszczalny. Należy zbadać w interesującym nas wypadku (na podstawie dotychczasowego rozwoju Warszawy i innych zagranicznych miast stołecznych), czy wolno się spodziewać, że przewidywane przyszłe wzrosty globalnego dochodu miasta będą dostatecznie poważne na to, aby zmieścić w sobie wzrost opłat na fundusz emerytalny.

Możliwe, że racjonalna reforma nie da się przeprowadzić bez uchwalenia odpowiedniej ustawy. Jednak nawet w tym wypadku samorząd stołeczny nie powinien całkowicie „odstępować" problemu emerytalnego czynnikom zewnętrznym. Powinien sam zbadać stan faktyczny, powinien sam sformułować pewne sugestie, dotyczące przyszłej ustawy o emeryturach pracowników samorządu terytorialnego. Zresztą zaznaczyć trzeba, że częściowa sanacja finansowa jest najzupełniej możliwa w granicach obecnego stanu prawnego. Przekraczało by to ramy artykułu niniejszego, gdybyśmy wyliczali i opisywali operacje ubezpieczeniowe i kredytowe, które w ostatnim wypadku wchodziłyby w grę.

ALEKSANEDR K. IVANKA

KRONIKI WARSZAWY

Upiększona za Stanisława Augusta, utrzymana za Księstwa Warszawskiego i Królewstwa Kongresowego, zaczęła Warszawa w wieku XIX rosnąć w rozmiarach i szpetocie. Ten doniosły dla wszystkich dziedzin gospodarki wiek XIX, zastając Warszawę formalnie jako Stolicę generał - gubernatorstwa „Kraju Przywiślańskiego", nie może wytworzyć tych skutków w dziedzinie urbanistyki, z jakich w tym samym czasie korzysta Londyn, Paryż, Wiedeń, nawet Berlin. Jeszcze za czasu t. zw. Prus Południowych, w początkach wieku XIX, Warszawa gasi Berlin, to też niechętnym okiem patrzą Berlińczycy na czasową okupację Warszawy przez Prusy, bojąc się, by stolica pruska nie została przeniesiona z brzydkiego Berlina do ileż wtedy piękniejszej Warszawy.

Ale skutki gospodarki XIX wieku szybko robią swoje.

Rośnie, rozwija się planowo, ciężki w stylu budowy, lecz prawidłowo rozbudowywany Berlin, niknie, gubi się piękno Warszawy wieku XVIII-go. Czynszowe kamienice, budowane bez właściwych planów urbanistycznych, krzywe, ciasne arterie komunikacyjne, bizantyjskie cerkwie, zakrywają, zaduszają stare pałacyki warszawskie; arogancka lub wyczupirzona architektura drugiej połowy XIX wieku, często „śmieś parižskawo z niżnienowgorodskim", przesłania piękną Warszawę epoki rokoka.

Tak tedy powstało miasto duże, lecz dziwnie brzydkie, o którym przed kilku laty powiedział jeden z akredytowanych dyplomatów zagranicznych, iż jest to najprzyjemniejsze miasto w Europie — nic w nim nie ma do zwiedzania, można się więc tylko bawić.

Miała jednak Warszawa miejsca sercu polskiemu drogie: Katedrę Świętojańską, sanktuarium Konstytucji 3-cio majowej i Zamek Królewski, widome niepodległości wspomnienie, i kościół Św. Krzyża symbol walk dawniejszych o przywrócenie niepodległości i Pl. Grzybowski miejsce niedawnych walk ludu warszawskiego o tęż niepodległość, i stoki Cytadeli — ołtarz męczenników narodowych. I gmachów pamiątkowych szereg, jako to Bank Polski, wspomnienie gospodarności z czasów Księcia Ministra Druckiego Lubeckiego i Pałac Staszica — dowód poszanowania nauk i troski o nie, i Szpital Dzieciątka Jezus miłosierności warszawskiej za sprawą Księdza Boduena — ofiara. Miała Warszawa ludzi co ją kochali, co chcieli jej piękna, rozwoju i dobrobytu. Lecz cóż można było czynić, gdy nie danem było prawo własnego gospodarzenia, nie mogła tedy rozwinąć się i gospodarność. Powstawały wprawdzie cenne instytucje i gmachy sztuce i kulturze narodowej poświęcone, fundowane szlachetnym wysiłkiem społeczeństwa. Powstał gmach Zachęty Sztuk Pięknych, Filharmonia Warszawska, Teatr Polski, miasto jednak rozwijało się nieprawidłowo, naprzekór naturalnym kierunkom: odwrócone od rzeki, oddzielone od prawobrzeża, brzydkie od strony wjazdów, o złych ulicach wylotowych, jakby niechętne tym, co je odwiedzali

Niechętne obcym lecz i niechętne swoim. Okólne i kręte drogi, łączące poszczególne dzielnice Wielkiej Warszawy, sprawiały wrażenie, jakoby życie stolicy rozpadło się na szereg odrębnych egzystencyj miasteczkowych. Ciasne, łatwe do tarasowania ulice, przepuszczały niechętnie ludzi i pojazdy, wstręt im niejako czyniąc, gdy chcieli poruszać się na takich samych prawach jak Paryżanin w Paryżu, Wiedeńczyk w Wiedniu, Berlińczyk w Berlinie.

Zagadnienie planowej rozbudowy miasta, zagadnienie stworzenia zeń miasta jednolitego, związanego wewnętrznie i wiążącego się należycie z obszarami podmiejskimi i zamiejskimi, powstałe z całą wyrazistością już w drugiej połowie XIX wieku. I właśnie nie kto inny jak wielki „kronikarz Warszawy" Bolesław Prus zwraca współczesnym swoim uwagę na to. Wewnętrzna logika w budowie miasta — oto problem, którego rozwiązania szuka Prus. Że jest to możliwe znajduje on potwierdzenie w czasie swojego pobytu w Paryżu i wykłada wyniki swych obserwacyj w myśli bohatera „Lalki" Wokulskiego.

„Widziany z Panteonu i Trocadero, Paryż przedstawiał się jednakowo: było to morze domów, przecięte tysiącem ulic, nierówne dachy wyglądały jak fale, kominy jak odpryski, a wieże i kolumny jak większe fale.

— Chaos — mówił Wokulski — Zresztą nie może być inaczej tam, gdzie zbiegają się miliony usiłowań. Wielkie miasto jest jak obłok kurzu; ma przypadkowe kontury, lecz nie może mieć logiki. Gdyby ją miało, już od dawna wykryliby ten fakt autorowie przewodników; bo i od czegóż oni są..."

I przyglądał się planowi miasta, wyśmiewając własne wysiłki.

Powoli jednakże, ku największemu zdziwieniu spostrzegł, że ów Paryż budowany przez kilkanaście wieków, przez miliony ludzi, niewiedzących o sobie i niemyślących o żadnym planie, ma jednakże plan, tworzy całość, nawet bardzo logiczną, przekonał się jeszcze, że w Paryżu istnieją całe dziedziny prac ludzkich i jakiś porządek w ich układzie. Pomiędzy Placem Bastylii i Placem Rzeczypospolitej skupia się przemysł i rzemiosła; naprzeciw nich, po drugiej stronie Sekwany leży „dzielnica łacińska", gniazdo uczących się i uczonych. Między Operą, Placem Rzeczypospolitej i Sekwaną gromadzi się handel wywozowy i finanse; między Nôtre-Dame, Instytutem Francuskim i cmentarzem Mont - Parnasse gnieżdżą się szczątki arystokracji rodowej. Od Opery do Łuku Gwiazdy ciągnie się dzielnica bogatych dorobkiewiczów, a naprzeciw nich, po lewej stronie Sekwany obok Hotelu Inwalidów i Szkoły Wojskowej jest siedziba militaryzmu i wszechświatowych wystaw".

Niestety, rzeczywistość warszawska nie tylko nie nasuwała podobnych refleksyj, ale wręcz działała zniechęcająco:

„Zatrzymał się w połowie drogi i patrzył na ciągnącą się u jego stóp dzielnicę między Nowym Zjazdem i Tamką. Uderzyło go podobieństwo do drabiny, której jeden bok stanowi ulica Dobra, drugi — linia od Garbarskiej do Topieli, a kilkanaście uliczek poprzecznych formują jakby szczeble.

„Nigdy nie wejdziemy po tej leżącej drabinie — myślał. — To chory kąt, dziki kąt".

I rozważał pełen goryczy, że płat ziemi nadrzecznej, zasypany śmieciem z całego miasta, nie urodzi nic nad parterowe i jednopiętrowe domki barwy czekoladowej i jasno - żółtej, ciemno - zielonej i pomarańczowej. Nic, oprócz białych i czarnych parkanów, otaczających puste place, skąd gdzie niegdzie wyskakuje kilkupiętrowa kamienica, jak sosna, która ocalała z wyciętego lasu, przestraszona własną samotnością.

„Tu nie poradzi jednostka z inicjatywą, bo wszystko sprzysięgło się, ażeby ją spętać i zużyć w pustej walce — o nic". (B. Prus — Lalka, tom. I).

Troska o miasto Warszawę, jej rozwój, jej mieszkańców, troska o wysoką wartość wszystkiego tego co jest *polskie* i co jest *warszawskie* wypełniały życie Bolesława Prusa, znajdując odzwierciadlenie w Jego słynnych „Kronikach Warszawy".

Dziwne to były kroniki, bo nie mówiły one o tem co było, lecz o tem co jest i co być powinno. Wiele dobrego zdziałał Pan Głowacki, myślą i słowem swym budując lepszą Warszawę, Warszawę nadziei.

A kroniki Warszawy biegły dalej. Pisała je historia dnia codziennego, kartę po karcie odwracając, jak w kalendarzu.

Dziś kreśli się ona datą 18 grudnia 1938 r., datą wyborów do Rady Miejskiej. Dzień ten zmobilizuje ludzi, wota swych sympatyj i niechęci oddających zmobilizuje ludzi wszystkich stanów, sztuk wyzwolonych i rękodzieł, różnorakich przekonań i poglądów. Mobilizuje on i nas, zajmujących się naukami ekonomicznemi, osądem według wyników rachunków i pieniądza. I rzecz dziwna, że z cyfr analizy i kolumn faktów zestawień, wypada nam wynik kanonom arytmetyki z reguły obcy, wypada nam wniosek: człowiek. W gospodarce publicznej, bowiem zaspakajającej potrzeby tysięcy, a nie jak w prywatnej egoizmy jednostek, najpoważniejszym problemem jest problem osoby gospodarza.

Takim gospodarzem stolicy, który wykazał dużą gospodarczość jest Prezydent Stefan Starzyński.

W dniu 18 grudnia padać będą okrzyki: niech żyje, padać będą i okrzyki odmienne: precz. Bywało już tak w Warszawie. Ksiądz Józef Makłowicz w swym tomów dwa mającym dziele p. t. „Wybór przykładów ojczystych" taką oto historyjkę pewnego pamiętnikarza z czasów Kościuszkowskich przytacza:

„Przybywszy z obozu pod Mokotowem do Warszawy (opowiada pewien pamiętnikarz) ujrzałem niepoliczony tłum ciągnący od strony Pałacu Krasińskiego. Na czele kolumny niosło kilku barczystych rzemieślników w tryumfie na rękach prezydenta miasta Zakrzewskiego ulubieńca całego pospólstwa, wołając na całe gardło: „Niech żyje nasz prezydent kochany". Procesja była długa, zwiększająca się co chwila nowym napływem ludzi. Zatrzymałem się dla tłoku a bardziej przez ciekawość, niespodziewając się wcale usłyszeć tego, co wkońcu doszło mych uszu: ci którzy nadeszli zapóźno i ciągnęli z tyłu pochodu, dowiedziawszy się, że przodem niosą Zakrzewskiego, mniemali, że go niosą pod szubienicę, która zaczynała być w modzie: Kiedy więc pierwsi wołali radośnie: „Niech żyje nasz prezydent kochany" ostatni wrzeszczeli z zajadłością: „Wieszać prezydenta zdrajcę", — jedni i drudzy z jednakim entuzjazmem i przekonaniem".

Spróbujmy teraz spojrzeć na minionych lat cztery okiem kronikarza.

Z punktu widzenia skąpstwa gospodarki finansowej, trzeba by Prezydentowi Starzyńskiemu zarzutów szereg postawić:

- podatków samorządowych nie obniżył,
- budżetu miejskiego nie skomprymował,
- kredytów milionów wiele, bo przeszło 100 milj. zaciągnął.

Prawda jednak, że:

- zasadzie równowagi budżetowej hołdował,
- dług krótkoterminowy zmniejszył, na długoterminowy go zamieniając,
- sprawozdania z gospodarki finansowej składał rzetelnie i wczas.

Zmniejsza to wagę pierwszego rejestru, aleć tu społecznik, człowiek serca czułego, przyjdzie i powie:

- miejsc w szpitalach nam jeszcze brak,
- biedota ludzka nie została ze szczętem usunięta,
- opieki społecznej na pełną miarę potrzeb nie rozbudowano,

a za to:

- ulice budował,
- domy rozwalał by nowe arterie komunikacyjne przeprowadzić,
- wiadukty, ponad torami kolejowymi przerzuca,
- aleję wzdłuż Wisły zbudował i wyasfaltował,
- most przez Wisłę od Karowej ulicy mu się jeszcze marzy.

Nie gdzieindziej, jak w broszurze Prezydenta Starzyńskiego p. t. „Rozwój Stolicy", znajdujemy o tem wspomnienie, że „główny wysiłek skierowany został na rozbudowę inwestycyj drogowych, wodociągowych i kanalizacyjnych na przedmieściach. Również rozbudowa gmachów szkolnych objęła niemal wyłącznie przedmieścia. Rezultatem tej polityki inwestycyjnej był gwałtowny rozwój budownictwa prywatnego na przedmieściach, co ilustruje załączona mapa i wyraźnie zdrowy ruch ucieczki ludności z przeludnionego śródmieścia do nowych, odleglejszych od centrum, zainwestowanych i zagospodarowanych dzielnic". A my na to powiemy, że właśnie w inwesty-

cjach Prezydenta Starzyńskiego widzimy probierz dobrego gospodarza: umiał on bowiem stworzyć dla swych prac to co jest najtrudniejsze — hierarchię celów.

Jego plany i ich realizacja zaczęły tworzyć to, o czem marzono od lat, zaczęły tworzyć: Stolicę.

Na pierwsze miejsce zasług Prezydenta Starzyńskiego musimy postawić sprawę budowy ulic i placów:

budowę arterii N—S przez Aleję Niepodległości. Wiadukt, Bonifraterską, wiadukt żoliborski, arterii, która z żoliborza zrobiła część Warszawy, znosząc dawną „Kolonię",

poszerzenie i wybrukowanie Puławskiej, Grochowskiej i Wolskiej, co stworzyło otwarty wjazd do Warszawy,

budowę wzdłuż Wisły Wybrzeża Gdańskiego i Alei na Skarpie, wiążąc po raz pierwszy Wisłę z Warszawą,

i zabrukowanie szeregu ulic,
i przebicie szeregu arterii przelotowych tak, że wreszcie Warszawa poczęła się zrastać w jeden organizm.

Tak tedy po latach kilkudziesięciu Prezydent Starzyński wznowił pisanie „Kronik Warszawy".

UWAGI I NOTATKI

KRYTYCY WARSZAWY

Twierdzę, że działalność komisarycznego Zarządu Miejskiego była niedosyć krytykowana; zarzut ten dotyczy zwłaszcza publicystyki i prasy.

Teza jest napozór paradoksalna. Mamy w pamięci ostre ataki na Zarząd Miejski, których symbolem niejako stał się prof. Studnicki, inicjator znanego procesu. Pamiętamy, też równie ostre stanowisko prasy politycznej, nieprzychylnej tym ugrupowaniom politycznym, do których należy prez. Starzyński. Wydawało by się więc, że krytyki było aż nadto. Ale czy to rzeczywiście była krytyka działalności samorządu stołecznego? Mam co do tego bardzo poważne wątpliwości.

Sam fakt powołania zarządu komisarycznego potraktowany został jako fakt polityczny. Nie kwestionuję, że było to uzasadnione. Natomiast ubolewam, że okoliczność ta decydująco zaważyła na ustosunkowaniu się głosów publicznych do prac podejmowanych przez zarząd komisaryczny i usunęła na plan najdalszy krytykę tych prac jako takich. Krytykowano zacięcie polityczny fakt powołania zarządu komisarycznego, na jego prace patrzono pod kątem wyszukiwania argumentów politycznych, a tem samem oceniano te prace wedle kryteriów ogólnych, mało pożytecznych dla oceny problemów lokalnych, samorządowych. W rezultacie prasa odnosiła się do działalności Zarządu Miejskiego w gruncie rzeczy bezkrytycznie: z bezkrytycznym potępieniem z jednej strony, z równie bezkrytycznemi pochwałami z drugiej strony. W tej zaś atmosferze albo wymykało się z pod oka krytyków, albo w oczach czytelnika traciło niezbędne minimum obiektywizmu to, co powinno być przedmiotem lojalnej i pożytecznej krytyki.

Tematów do takiej krytyki jest przecie dosyć. Odnosząc się pozytywnie, nawet bardzo pozytywnie do działań gospodarczych prez. Starzyńskiego, tem niemniej uważamy za temat do dyskusji, czy najlepsza dla gospodarstwa narodowego była tak znaczna koncentracja w Warszawie kapitałów inwestycynjych; będących w ubiegłym okresie w dyspozycji ciał publicznych; czy nie należało większego nacisku położyć na budownictwo robotnicze; czy należało podejmować w stosunkowo znacznej skali tzw. inwestycje kulturalne. Lista tego rodzaju problemów może być długa — czytelnik jednak zauważył zapewne, że samo ich postawienie brzmi nieco fałszywie. Przewiduję, że brzmią one jako *zarzut* pod adresem prez. Starzyńskiego czy Zarządu Miasta, jako zarzut, a nie proste postawienie tematu do dyskusji, bowiem istnieje atmosfera, w której można albo pochwalać, albo ganić — ale nie *krytykować* w pełnym, tj. lojalnym słowa rozumieniu.

Rozumiem, że tak jest zawsze w wypadkach tego rodzaju. Tym razem jednak normalne to zjawisko pojawiło się w rozmiarach nienaturalnie wielkich. Ubolewać nad nim trzeba tem więcej, że komisaryczny Zarząd Miejski nie ograniczał się do poczciwego urzędowania, rozwinął nieznaną dawniej na ratuszu aktywność i wykonał wiele prac, które na długie lata będą przesądzały o rozwoju miasta. Przy wykonywaniu prac takich krytyka publiczna, lojalna krytyka jest pożyteczna, a nawet wręcz niezbędna. Odczuwano to, szukając bezpośrednich dróg do mieszkańca miasta, ożywiając działalność stowarzyszeń dzielnicowych — szkoda, że nie dała się zużytkować dla tych celów prasa i publicystyka.

s. t.

IDEA I PRACA

Zacznę od cytaty, bo dobrze jest stwierdzać pewną ciągłość w rozwoju myśli, nawiązywać do przebytych etapów lub odnawiać ciągłość przerwaną. Stanisław Brzozowski, na marginesie idei politycznych Macchiawelli'ego, pisze: „prawdziwym czynem politycznym jest nie zamierzenie, ale skutek wykonanego przez nas zamierzenia. Chcesz poznać moc własnego narodu, badaj nie to, co ludzie mówią, nawet nie to co czują, ale to, co z ich życia, choć by wbrew ich woli, wyrasta. Gdy odnajdziesz na przedłużeniu czyjegoś życia przyrost siły narodowej, nie badaj, co myśli, mówi ten człowiek, ale wiedz — on stwarza siłę".

Mógłby ktoś powiedzieć, że cytata jest nie zupełna, a propos skoro mowa o samorządzie m. st. Warszawy. Nie zgodzę się z tem — rozbudowa stolicy państwa jest na pewno zagadnieniem politycznym, ściślej, mającym doniosłe znaczenie polityczne, jeśli się stanie na stanowisku, że życie jest integralne a zjawiska życiowe mają tylko różne aspekty: polityczny, gospodarczy, społeczny, biologiczny, narodowy itd. Rozbudowa Warszawy ma wszystkie wymienione aspekty. Chcę omówić niektóre z nich. Zgodnie z cytatą nie pytam co mówi, co czuje i co zamierza p. Stefan Starzyński. Ja wiem, bo widzę, że on stwarza stolicę Polski. A stolica państwa jest jednym z elementów jego siły.

Chodzi bowiem o rzecz poważną i nieprzemijającą. Starzyński robi tak zwane w naukowym żargonie ekonomicznym inwestycje miejskie. Z jego decyzji powstają, tworzone przez inżynierów, architektów, techników, artystów, robotników, różne urządzenia i obiekty, budowane z kamienia, żelaza, betonu i stali, obiekty, które stać będą wieki. Zastrzegam się, że piszę to zdanie bez żadnego patosu, po prostu konstatuję fakt. Muzeum Narodowe może stać równie długo jak stoi Zamek Królewski, bulwar nad Wisłą może przetrwać tyleż czasu, co odsłonięte mury obronne Starej Warszawy. My dziś budujemy to i owo dla naszego doraźnego użytku, decydujemy nieraz ze względów czy to koniunkturalnych, czy nawet personalnych, na ogół bez myśli o tem, że tworzymy przyszłe zabytki przeszłości. O tem powinien pamiętać Naród, który ma za sobą 1000 lat historii.

Dzisiejsza rzeczywistość — to jutrzejsza historia. W pojęciu historia jest patos. Przywykliśmy to

tak odczuwać, a tymczasem historia tworzy się stale codzienną, szarą, czy to nudną i uprzykrzoną, czasem zdzierającą siły — pracą. Historią staje się to, co w tej pracy jest trwałe, lub powoduje trwałe skutki. Starzyński odsłania historię Starej Warszawy i tworzy nową historię.

A tymczasem krytycy tworzą różne historie o p. Starzyńskim. I czynią to nieraz z tak wzniosłym patosem, przeciwstawiając swoje wielkie idee, wielkie myśli, różne ideologie i zasługi dla narodowej sprawy. wobec których p. Starzyński, to taki mały człowiek, który ma tylko głowę do interesów i to podobno różnych takich... no bo przecież jak człowiek umie robić interesy, to z tego korzysta. I krytykom tym nie przyjdzie na myśl, że ich wielkie idee i myśli, które znalazły wyraz tylko na papierze, mogą zmurszeć wraz z tym papierem, podczas gdy rezultaty pracy p. Starzyńskiego będą trwać dziesiątki a może i setki lat. Nie ma przecież innego sprawdzianu wartości myśli, jak wprowadzenie jej w czyn, więc skąd ta pewność u krytyków, że myślą sprawniej, mądrzej, słuszniej?

A zresztą zastanówmy się nad rezultatami pracy byłego komisarycznego Prezydenta miasta od strony np. idei narodowej, ale od pozytywnych i konstruktywnych wymagań tej idei, nie zaś negatywnych. Bo hasło odżydzenia Warszawy jest hasłem negatywnym, dążącym do usuwania pewnego zjawiska, nie wysuwającym natomiast żadnych konkretnych projektów budowania, tworzenia, kształtowania życia.

Postawmy sobie pytania:

Czy pietyzm w stosunku do pamiątek historycznych, wyrażający się w odsłonięciu średniowiecznych murów, odbudowie arsenału, urządzeniu muzeum, zawierającego historyczne pamiątki, jest nadawaniem Warszawie polskiego charakteru narodowego, czy nie jest?

Czy budowa nowych ulic, realizowanie hasła — frontem do Wisły, otwieranie perspektyw na piękne architektoniczne fragmenty jest w jakimś związku z polską kulturą, czy z tej kultury wynika i ją pogłębia?

Czy usuwanie śmietników a zakładanie kwietników leży w charakterze narodowych upodobań estetycznych, czy nie leży?

Jak się należy zapatrywać na usunięcie wszystkich szyldów grzeszących przeciw poprawności polskiego języka?

Czy w ogóle wprowadzanie planowości w rozbudowie miasta, tworzenie całych kompleksów architektonicznych, dążenie do nadawania miastu jak najbardziej estetycznego wyglądu do monumentalności — jest właściwe narodowi polskiemu, jest tego narodu marzeniem, pragnieniem, tęsknotą?

Bo cóż to jest realizacja idei narodowej? To jest urządzanie życia według woli i myśli własnej. Czy jest w rezultatach działalności Starzyńskiego coś obcego duchowi kultury polskiej, coś sprzecznego z pragnieniami i dążeniami narodowymi? Nie spotkałem dotąd takiego zarzutu. że nie realizuje tych dążeń i pragnień w pełni? Było by absurdem stawiać taki zarzut poważnie. Kultura narodowa, życie duchowe narodu są tak bogate, że nie ogarnie ich swym umysłem żaden człowiek ani... żadne stronnictwo polityczne. Nie warto na ten temat rozważać. Starzyński nadaje Warszawie polski charakter narodowy — to jest pewnik. A równocześnie robi Warszawę miastem bardziej europejskim, niż była nim dotąd. Nie są to rzeczy sprzeczne. Polska jest krajem europejskim, a polska kultura jest jednym z typów kultury ogólnoeuropejskiej.

Kulturę europejską cechuje kult pracy i wysiłku. Fakt, że w Warszawie ciągle coś się robi, że wysiłek nie kończy się na jednorazowym zrywie energii, że od lat pięciu przechodzi się od jednego zadania do drugiego bez przerw, bez chwilowego nawet odpoczywania na laurach, stanowią bardziej o europejskości Warszawy, niż wygląd zewnętrzny gmachów i ulic.

Czy wytrwały, systematyczny, planowy i produktywny wysiłek leży także w polskim charakterze narodowym? Odpowiedzi na to pytanie można szukać tylko w stosunku opinii szerokich mas do gospodarki p. Starzyńskiego.

r. s.

WĘZEŁ GORDYJSKI

Refleksje „człowieka ulicy" na temat gospodarki miejskiej są często powierzchowne, dotyczą usterek i niedomagań, które mu najbardziej dokuczają a oparte są na przesłankach wiążących bezpośrednio skutek i przyczynę bez głębszej analizy trudności i oporów jakie trzeba pokonać. I nic dziwnego: przeciętny obywatel miasta nie orientuje się (i trudno tego od niego wymagać) w zawiłych często trudnościach technicznych czy finansowych, które sprawiają, że drobny odcinek gospodarki miejskiej nie może być ulepszony w sposób wyrywkowy, w oderwaniu od większej całości. Dziedziną, która w sposób najbardziej bezpośredni dokucza każdemu niemal mieszkańcowi miasta i ściąga na siebie gros słusznych zarzutów, jest komunikacja miejska. Wiem, że w tym zakresie został dokonany duży postęp, że zwiększono ilość taboru, linii komunikacyjnych, że zamierzona jest budowa metra. Wszystkie te wysiłki nie są jednak wystarczające.

Poprawa bowiem warunków komunikacyjnych w stolicy zależy w pierwszym rzędzie od uporządkowania ruchu ulicznego, to znaczy od zwiększenia przelotności przeciążonych w śródmieściu linii tramwajowych. Zagadnienie wydaje się na ogół dość proste: usprawnienie ruchu jest jednoznaczne z jego ujednostajnieniem; spośród trzech kategorii pojazdów — motorowych, konnych i elektrycznych, kategoria druga jako najpowolniejsza stanowi czynnik hamujący, czynnik redukujący przeciętną szybkość ruchu wszystkich pojazdów. Zdawałoby się zatem, że wniosek logiczny w tym stanie rzeczy jest niezmiernie prosty: możliwie szybkie wyeliminowanie z ruchu pojazdów konnych. Do wniosku tego doszedł już dość dawno zarząd miejski — jest również zainteresowany pod kątem zmniejszonego zużycia bruków ulep-

szonych, oraz szereg organizacji społecznych. Niestety praktyczne rozwiązanie tego stosunkowo prostego zagadnienia napotyka na jakieś nieprzezwyciężone przeszkody i do dziś dnia nie posuwa się naprzód. Przypatrzmy się tej abrakadabrze z bliska. Pojazdy konne w Warszawie dzielą się na dwie kategorie: pojazdów wożących artykuły spożywcze z poza miasta oraz pojazdów koncesjonowanych przedsiębiorstw zarobkowych. Wyeliminowanie z ruchu pierwszej kategorii nie wydaje się możliwe, natomiast właśnie ograniczenie przejazdu do godzin nocnych (np. od godz. 23 do 7 rano), jest stosunkowo łatwe, gdyż pokrywa się z naturalną, dotychczasową tendencją tych dowozów. W stosunku do drugiej kategorii ograniczenie ruchu wyłącznie do godzin nocnych może być przeprowadzone bez większych trudności jeśli chodzi np. o przewóz węgla i materiałów budowlanych. Oczywiście wywoła to pewne podrożenie przewozu konnego, czem nie należy się zbytnio martwić, gdyż będzie ono stanowić drobne wyrównanie szans konkurencyjnych na korzyść przewozów motorowych. Wprowadzenie ograniczeń „w czasie" dla dorożek konnych nie jest możliwe, należałoby w tym wypadku stosować ograniczenia „w przestrzeni" jako zakaz kursowania początkowo po głównych arteriach, później zaś — na określonym stopniowo coraz większym obszarze śródmieścia. Konieczne jest tu jednak ustalenie i ogłoszenie planu ograniczeń przewidzianych na lat kilka, tak aby znajomość ich stanowiła dodatkowy bodziec do skupionego wycofywania się właścicieli dorożek konnych z ich sposobu zarobkowania.

Mówiłem dotychczas o środkach doraźnych. Spośród środków długofalowych na pierwszy plan wysuwa się całkowite zamknięcie wydawania nowych koncesji na zarobkowy przewóz osób i towarów trakcją konną. Należałoby się też zastanowić czy możliwy jest stopniowy wykup wozów ciężarowych przez miasto; sumy wydatkowane na ten cel znalazłyby pokrycie w zredukowanych kosztach remontu bruków miejskich.

Sądzę, że eliminacja ruchu pojazdów konnych stanowi pierwszy i zasadniczy warunek polepszenia komunikacji miejskiej. Na tym jednak sprawa się nie wyczerpuje. Przed kilkoma laty podjęto na łamach prasy wielką kampanię za przyśpieszeniem przebiegu wozów tramwajowych. Dyrekcja wysunęła oczywiście szereg słusznych argumentów (przeciążenie linii śródmiejskich, tarasowanie terenu przez pojazdy konne, porównania z szybkością przebiegu tramwajów zagranicą itp.) i po żmudnych badaniach zwiększyła nieco szybkość przeciętną. Od tej pory jednak nic się na tym odcinku nie robi. A szkoda. W tym miejscu bowiem przytoczyćby należało per analogiam wszystkie argumenty jakie mają zastosowanie w dyskusjach o wyższości trakcji elektrycznej na kolejach w ruchu podmiejskim w porównaniu z trakcją parową. Zwiększenie szybkości przeciętnej na linii o krótkich odcinkach (gęstość przystanków lub przeszkody w ruchu) zależy w wielkiej mierze od szybkości rozbiegu i szybkości hamowania. Wozy tramwajowe w Warszawie (nie wyłączając nowych wozów) stanowią pod tym względem przykry anachronizm. W polityce inwestycyjnej tramwajów miejskich nie widać żadnej zmiany na lepsze. Jeśli nawet istniałaby obawa wprowadzania na liniach śródmiejskich takiego ulepszonego typu wozów (silniki o większej mocy, hamulce pneumatyczne), to znaczna rozbudowa linii na przedmieściach i znaczny postęp w budowie wydzielonych torowisk, uzasadniają już stopniowe wprowadzanie wozów szybszych. Do czasu rozbudowy metra tramwaje (mimo rozwoju sieci autobusowej) stanowić będą główny środek przewozów masowych; to też tradycjonalizm w inwestycjach taborowych jest niebezpieczeństwem hamującym wszelki postęp na długie lata.

j. r.

REWOLUCJA W WARSZAWIE[1])

Rewolucja bezkrwawa i bezgłośna. Bronią rewolucjonistów są narzędzia pokojowej pracy, koszta nie dają się porównać nawet z kosztami chociażby parotygodniowej wojny domowej, czy zewnętrznej. Pomimo to termin „rewolucja" jest usprawiedliwiony, ba, narzuca się sam przez się dla określenia skali, stopnia zmian, jakie nastąpiły, i ich bezpośredniego i pośredniego znaczenia.

Leje się nie krew, lecz tonny asfaltu, wapna, farby. Obala się nie barykady, lecz rudery, tamujące ruch uliczny, tamujące życie. Tworzy się nowe formy. Nie formy ustrojowe, — nowe formy życia codziennego.

Przemiany, zachodzące w urządzeniu i wyglądzie zewnętrznym Warszawy zasługują, ba, wręcz domagają się zdecydowanej, jawnej, mocnej pochwały. Nie cofamy się przed pomówieniem nas o panegiryk, nie cofamy się przed zarzutem robienia wielkiej sprawy ze spraw codziennych, takich, jak wygoda, czystość, lepsze zaspokojenie elementarnych potrzeb bytowania miejskiego. Nie bójmy się zastrzeżeń, że koniec końców chodzi o rzeczy, które każde cywilizowane, każde europejskie miasto ma już za sobą. A przede wszystkim nie poddawajmy się próbie zwekslowania sprawy na niewłaściwe tory oceny, próbie zasugerowania, że całokształt bez mała dokonywujących się w Warszawie inwestycyj ma charakter konsumcyjny, że wiele z nich ma na celu tylko upiększenie miasta, że zatem dla ekonomisty jedynym problemem jest problem wielkości obciążeń z tytułu tych inwestycyj powstających. Problem gorzki, bo przecież jesteśmy krajem ubogim, a inwestujemy tak znaczne kwoty nie rozbudowując naszego aparatu produkcyjnego. Z chwilą, kiedy fakty uniemożliwiły atakowanie polityki inwestycyjnej Warszawy z punktu widzenia jej pozagospodarczej celowości, z chwilą, kiedy planowość dokonywanej pracy stała się wyraźna, jej efekty oczywiste, a stosunek człowieka ulicy powszechnie pozytywny, wątpliwość, że wszystkie te skądinąd bardzo piękne, poczynania są koniec końców luksusem dla biednego kraju, stała się leit motivem krytyków. Czy słusznie,

Oczywiście, że pierwszym motywem uzasadniającym inwestycje wodociągowe, kanalizacyjne, asfaltowanie ulic, odnawianie domów, zakładanie zieleńców itp. jest motyw pozagospodarczy. Raz będzie to wygoda, kiedyindziej higiena, kiedyindziej jeszcze estetyka. Śmiem twierdzić jednak, że zawsze, w każdym wypadku osiąga się pewien efekt gospodarczy.

---

[1]) Przedruk z nr. 19 „G. N." z dn. 15.10.38.

Osiąga się go oczywiście tylko wtedy, jeżeli całość przemian ma na tyle dużą skalę, iż następuje coś, co nazwalibyśmy zmianą oblicza miasta, zmianą warunków życia w Warszawie. Wtedy w grę wchodzi już nie tylko oszczędność czasu na przejazdach, oszczędność na mniejszym zużyciu środków lokomocji przy lepszych nawierzchniach, oszczędność na tańszej wodzie, oszczędność na zdrowiu ludzkim itp. Wchodzi w grę jeszcze ponad to stopniowa, ale tem nie mniej głęboka przemiana w psychice gospodarczej mieszkańców. Znawcy zagadnienia mieszkań robotniczych stwierdzają wszyscy zgodnie, że przeniesienia z brudnej, wilgotnej i ciemnej suteryny do higienicznego i jako tako estetycznego mieszkania powodują zupełny przełom w życiu rodziny robotniczej. Zmienia się budżet, maleją wydatki na wódkę, która ma przesłaniać rzeczywistość, rosną wysiłki i wydatki w kierunku upiększenia i urządzenia mieszkania. Napewno zmienia się wydajność pracy, zmienia się stosunek do pracy, zmieniają się możliwości wykorzystania wolnego czasu. Sądzę, że taką samą miarę należy stosować do tych przemian, jakie nastąpiły w urządzeniu, uporządkowaniu i przyozdobieniu Warszawy. Mamy tak samo prawo oczekiwać przemian w stylu życia setek tysięcy mieszkańców naszej stolicy. Mamy również prawo oczekiwać wtórnych rezultatów osiągnięć Warszawy — podnoszenia się poziomu urbanistycznego miast i miasteczek polskich. Przykład jest zaraźliwy i bardzo często wyasfaltowanie ulic warszawskich, można uważać za jeden z powodów zasypania kałuży z błotem na głównej ulicy Grajdołka.

Oczywiście, powyższe uwagi nie usuwają bynajmniej możliwości stawiania zarzutów, że to czy owo jest zbędne, względnie, że ta czy owa potrzeba po dzień dzisiejszy zaspakajana hierarchicznie, zasługiwałaby na wcześniejsze uwzględnienie od wielu zaspokojonych potrzeb. Można i należy się również zastanowić, czy i jak pokolenia przyszłych warszawiaków radzić sobie będą ze spłatą zobowiązań, którymi my dziś ich obciążamy. To wszystko jednak nie może naszym zdaniem, prowadzić do zrewidowania zasadniczego poglądu. Poglądu, który sprowadza się do stwierdzenia, że warszawiak, który przez lat kilka nie widział stolicy, dzisiaj by jej, jak się to plastycznie mówi, nie poznał, i że ta przemiana nie może być traktowana jako luksus, jako zaspokojenie potrzeb drugorzędnych przy nierozwiązanym problemie stworzenia podstawy egzystencji, podstaw zarobkowania, lecz, że przeciwnie, jest jednym z niezbędnych fragmentów kształtowania rzeczywistości polskiej na nowocześniejszą, bardziej europejską formę.

Co zaś zasługuje na specjalne podkreślenie, to 3 cechy: 1) Znaczny stopień planowości dokonywanych zmian. Przykładem tego jest np. Wybrzeże Gdańskie, które pewnego pięknego dnia związało w jedną całość cały szereg fragmentów urbanistycznych, już poprzednio troskliwie opracowanych, mimo, iż przy braku arterii komunikacyjnej, znajdowały się one poza orbitą życia Warszawy. 2) Dość znaczny rozmach w planowaniu w postaci liczenia się nie tylko z dzisiejszym układem życia, lecz i z jego dynamiką, wyciągnięcie wniosku z tego, czego nas nauczyło doświadczenie dotychczasowe, że mianowicie rozwój stolicy szedł prędzej w wielu wypadkach niż pozornie na wyrost tworzone urządzenia. 3) Równomierność w traktowaniu centrum i peryferyj warszawskich, sięgnięcie do najbardziej „zakazanych", dosłownie, żadnemu mieszkańcowi centrum nieznanych przedmieść.

Oczywiście, refleksje powyższe są refleksjami laika, który opiera się głównie o obserwacje naoczne i doraźne informacje, których zresztą Zarząd Miejski słusznie nie skąpi. Analiza budżetu miejskiego i cyfrowych planów inwestycyjnych pozwoliłyby uzupełnić te wywody pewną oceną, gdzie jest granica dla słusznej tendencji, w którym miejscu trzeba będzie i można będzie powiedzieć sobie, że proces urządzania się Warszawy na nowej stopie życia powinien być zahamowany, aby nie nastąpiły przerosty. Nie sądzę jednak, aby to był moment bliski. Nie sądzę na podstawie przesłanek, które komuś mogą się wydawać bardzo nierzeczowe, choć tem bardziej są charakterystyczne. Sądzę na podstawie zaufania. Na podstawie rozumowania, które napewno jest doktrynalnie błędne, ale niezwykle użyteczne praktycznie. Po prostu na podstawie tego, że skoro widzi się, że dotychczasowe prace były zrobione z sensem, ba, że zasługują na pochwałę — to wierzy się, że tak samo pomyślnie przeprowadzone będą i dalsze. Skoro zaś już mówimy o momencie zaufania, które przecież jest także pozytywnym dorobkiem życia publicznego, to pozwólmy sobie na podkreślenie, że zaufanie to zdobyte zostało nie tylko wśród sfer inteligenckich, lecz objęło masy „szarych ludzi". Spór, który zdarzyło się słyszeć piszącemu te słowa, w którym jedna „paniusia" dowodziła, że Starzyński napewno jest z Woli, druga zaś upierała się, że na pewno z Mokotowa, obie zaś argumentowały tem, że gdyby było inaczej to przecież nie zrobiłby w danej dzielnicy takiego porządku, — spór ten jest wyrazem tego zaufania i na pewno największą pochwałą, jaka spotkać może sprawcę warszawskiej rewolucji.

t. k.

PRZEZ OKULARY ŻOLIBORZANINA

Na ogół okulary deformują oglądaną nimi rzeczywistość. U krótkowidza, przybliżając określony wycinek przestrzeni, zatapiają pozostałe w mgle. Dalekowidz z łatwością dostrzega oddalony o dziesiątki metrów krzak, ale wpada na rosnące tuż przed nim wielkie drzewo. Żoliborzanin spoglądający na swą dzielnicę i całą Warszawę musi nosić wyjątkowo czułe okulary: ma przecież dostrzegać i bliskie i dalekie, szkła powinien stosować zarówno do przestrzeni jak czasu.

Pojęcie czasu nie jest tutaj skomplikowane. Historia Żoliborza, jakim widzimy go dzisiaj, nie sięga nawet dwudziestu lat. Gorzej jest z przestrzenią, bo ta dzielnica Wielkiej Warszawy rozciągnęła się na ogromnym obszarze, wymagającym równie dużych inwestycyj.

Struktura urbanistyczna Żoliborza jest wyraźnie dwukierunkowa. Obok nowoczesnej zabudowy blokowej rozsiadły się tu gęsto jednorodzinne domki, szczególnie nad brzegiem odkrytej przez warszawianina dla warszawian Wisły. Z tej swoistej struktury urbanistycznej wywodzą się swoiste potrzeby Żoliborza.

żoliborz trzeba było planować z rozmachem. Liczące po kilkaset lokali mieszkalnych bloki domów nie mogły stanąć przy charakterystycznych dla warszawskiego city wąskich i krótkich uliczkach. To też plac Inwalidów, największy w Warszawie, zajmuje 3,4 ha powierzchni, ulice: Mickiewicza, Aleja Wojska Polskiego, wypadowa arteria ku Bielanom — Marymoncka stanowią dla ludzi z epoki Wokulskiego swego rodzaju curiosum. Są za szerokie, za długie, za widne. Mają zbyt wiele słońca i zieleni. Przy takich ulicach trudno wyobrazić sobie secesyjną kamieniczkę, mieszkanko z pluszami, palmami, pluskwami i portretami rodzinnymi w złoconych ramach.

Dzielnica willowa podzieliła się tysiącami ogródków. Białe domki o jasnych, prostych liniach ciągną się długimi sznurami poprzecznie do głównych arterii komunikacyjnych ku Wiśle. Zamieszkuje je lepiej sytuowana inteligencja pracująca, nazywająca Żoliborz bloków — urzędniczym.

Ale obie dzielnice Żoliborza stanowią właściwie integralną całość i posiadają wspólne potrzeby. Z potrzeb tych najkapitalniejsze dotyczą komunikacji.

Zagadnienie komunikacji na Żoliborzu było trudne do rozwiązania. Podkreślam: *było.* Obecnie *jest* już rozwiązane. W ciągu ostatnich czterech lat dano Żoliborzowi wiadukt nad Dworcem Gdańskim, skracający trasę wozów tramwajowych o dobre kilkaset metrów i pozwalający ominąć dzielnicę północną. Wybrzeże Gdańskie odsłoniło piękno Wisły i stoków Cytadeli. Logicznie wkomponowane w całość lewobrzeżnego bulwaru nadwiślańskiego, przechodzące z jednej strony w Wybrzeże Gdyńskie, z drugiej Kościuszkowskie, stanowi reprezentacyjną arterię dla ruchu kołowego mechanicznego i pieszego — spacerowego. Przebicie nowej arterii ulicą Bonifraterską do placu Krasińskich usprawniło komunikację Żoliborza ze śródmieściem ostatecznie i wyczerpująco. Z Żoliborza do Dworca Głównego jest — jeśli chodzi o czas przejazdu — nie wiele dalej, niż z tegoż dworca na plac Unii Lubelskiej!

Potrzeba druga: jezdnie i chodniki. Nie ma w Warszawie wydzielonej dzielnicy, która posiadałaby równie uporządkowane ulice i uliczki. Króluje nawierzchnia gładka. Kocich łbów ani śladu. Przy tem roboty drogowo-brukarskie prowadzi się stale, wygładzając kostką granitową i płytami chodników każdy metr zamieszkanej ulicy. Porządkowanie nawierzchni poprzedziło skanalizowanie i uzbrojenie terenów.

Potrzeba trzecia: zieleń. W centrum Żoliborza istnieje liczący 6 ha park Żeromskiego. Na Żoliborzu dolnym powstaje park Moniuszki o powierzchni 16 ha. Park Traugutta rozrasta się z roku na rok. W bezpośrednim sąsiedztwie *dzisiaj* — największy rezerwat zieleni w Warszawie, lasek Bielański. *Jutro* park Moniuszki wymieni ptaki i barwy kwiatów z powstającym 130 ha parkiem na Kępie Potockiej, z którym stanowić będzie zdrowotno-dekoracyjną całość. Zieleńce i pasy trawników obrosły pl. Wilsona, pl. Inwalidów, pl. Słoneczny, ulice Krasińskiego, Czarnieckiego, Inflancką, Śmiałą, Aleję Wojska Polskiego. Zadrzewia się wszystkie ulice w obu dzielnicach żoliborskich pięknemi odmianami klonów, lip i topoli.

W akapicie pierwszym powiedziałem, iż żoliborzanie noszą wyjątkowo ostre szkła, syntetyzujące dodatnie właściwości znanych nam typów okularów.

a. cz.

PRZECIW PRĄDOWI [1])

Mentalność polskiego społeczeństwa posiada pewną dziwaczną cechę, mianowicie niechęć do chwalenia kogokolwiekbądź za jego zasługi i czyny, przynajmniej za życia danego człowieka. Przyjętą jest jedynie krytyka negatywna. Stąd polska opinia publiczna jest wybitnie jednostronna.

Na hyperkrytycyzm polskiej opinii publicznej niejednokrotnie zwracano uwagę, ba w ogóle uważany on jest za jedną z naszych narodowych wad. Po głębszym zastanowieniu się nad tą sprawą dochodzę jednak do wniosku, że hyperkrytycyzmu u nas właściwie nie ma i wiele spraw godnych krytyki jest przemilczanych z różnych względów, nie zawsze godnych pochwały i uznania oraz, że właściwą wadą naszej opinii jest raczej owa niechęć do chwalenia pozytywnych przejawów działalności publicznej, a także motywy tej niechęci.

Zwłaszcza zaś te motywy. Bo rozumiem, choć nie pochwalam, jeśli jeden obóz polityczny nie chce przyznawać żadnych zasług człowiekowi z drugiego obozu politycznego, a odwrotnie doszukuje się jak może punktów zaczepienia do krytyki. Takie stanowisko jest przynajmniej rzeczowo uzasadnione walką, jaką różne obozy polityczne prowadzą z sobą i pod tym względem Polska nie jest żadnym wyjątkiem. Nasza osobliwość tkwi w czem innem. Otóż u nas *nie wypada, jest w złym tonie,* chwalić kogoś, kto w danej chwili pozostaje na jakimś wysokim i wpływowym stanowisku. To zajęcie, powiada się, przystoi przecież jedynie organom urzędowej propagandy i niewątpliwie każdy, kto *publicznie* zechce zwrócić uwagę na pozytywne strony działalności jakiegoś aktualnego ministra, wybitnego polityki itp., zostanie posądzony o interesowność, przypochlebianie się i Bóg wie co. W prywatnej rozmowie owszem: najzaciętszym wrogom oddaje się nieraz sprawiedliwość.

Terror powyższego nastawienia opinii publicznej jest tak wielki, że niezależny publicysta doprawdy potrzebuje więcej cywilnej odwagi na to, by kogoś pochwalić, niż by go skrytykować. W tym bowiem drugim wypadku ryzykuje się jedynie jakieś represje, czy straty materialne, nie ryzykuje się natomiast strat moralnych w postaci poddawania w wątpliwość czystości intencji i szargania czci. A tego przecież człowiek uczciwy boi się najwięcej.

Postanowiłem zbuntować się przeciw temu, nastawieniu naszej oficjalnej opinii, przeciw jej terrorowi i napisać w duchu pozytywnym o p. Stefanie Starzyńskim, obecnym Komisarycznym Prezydencie m. st. Warszawy. Cui bono? — zapytają ciekawi. Bo nie byłem przecież ani legionistą, ani peowiakiem, nie

[1]) Przedruk z nr. 15 — 16 „G. N." z dnia 1.8.37.

należałem do B. B., nie należę do Ozonu i nie mam nawet na to ochoty. Osobiście mnie p. Starzyński ani ziębi ani grzeje, bo go nie znam. A mimo to znieść nie mogę charakteru i treści ataków na jego działalność jako Prezydenta Miasta.

Nie będę się wdawał w analizy bilansów i cyfr, nie chodzi mi bowiem o wszechstronną ocenę gospodarki komisarycznego zarządu Warszawy, a jedynie o położenie nacisku na jej najistotniejszą i najważniejszą cechę, odróżniającą dzisiejszy stan rzeczy w sposób wybitnie jaskrawy od wszystkiego co było dotychczas. Otóż wszyscy dotychczasowi włodarze naszej stolicy rządzili nią, administrowali, reprezentowali ją; a p. Starzyński *gospodaruje* w Warszawie. Chodząc dziś po Warszawie każdy obywatel jako tako interesujący się miastem, w którym upływa jego życie, napotyka co krok dowody, że Warszawa ma dziś *gospodarza*. A nie miała go dotąd nigdy!

Ten fakt ma dla mnie, a powinien mieć nie tylko dla mnie, tak wielką wagę gatunkową, że żadne usterki i braki w działalności dzisiejszego magistratu stołecznego nie mogą przechylić szali na swoją stronę w ogólnej ocenie sprawy.

Ja nie wiem czy umiejętność gospodarzenia jest w Polsce cechą rzadką, czy też po prostu tak niedocenianą, iż w ogóle nie zwraca się na nią uwagi przy kwalifikowaniu ludzi do zajmowania stanowisk publicznych. Chociaż z rozmów z tzw. szarymi ludźmi wynikało by, że gospodarzenie p. Starzyńskiego jest doceniane *powszechnie*. Jest w Warszawie dużo ludzi, którzy chodzą po mieście jedynie w tym celu by zobaczyć od czasu do czasu co i gdzie się robi, burzy, buduje, porządkuje. Nieznajomi ludzie wymieniają wówczas między sobą zdania i opinie wprost przeciwne, niż te które się czyta w gazetach i publikacjach „specjalnych". Gdyby autorzy owych publikacyj posłuchali rozmów zwykłych obywateli Warszawy na temat gospodarzenia p. Starzyńskiego, toby im ręce opadły. Bo trudno: wymowa realnych faktów jest zawsze mocniejsza niż najbardziej misterne argumenty słowne.

A p. Starzyński *stwarza realne fakty* zmienia na lepsze otaczający nas, mieszkańców Warszawy, świat zewnętrzny, a w tem — jak to robi — widać, że ma wyobraźnię twórczą i plastyczną wizję celów, które chce osiągnąć. Żyjąc w Warszawie, chodząc po nowych brukach, siedząc na ławce w nowych parkach lub zieleńcach, patrząc jak z wody wiślanej wyrasta kamienny cokół pod Stare Miasto, człowiek czuje, że życie w Warszawie staje się przyjemniejsze i piękniejsze oraz że powstają rzeczy, które trwać będą wieki. W osiągnięciu tych rezultatów tkwi przecież jedyny sens działalności gospodarczej. A potem się gdzieś czyta,, np., że p. Starzyński ma nieprzyjemny i brzydki charakter! A niech sobie ma. Zresztą pary flirtujące na nowym bulwarze nad Wisłą, zamiast w ciasnych uliczkach Starego Miasta na pewno w to nie uwierzą. Łamie podobno jakieś „charaktery"? A niech łamie, jeśli stają mu w poprzek trasy nowych ulic, zagradzają drogę do nowych dzielnic i parków!

Tło polityczne? Kwestia zasadnicza: Samorząd contra „mianorząd"? Zdaje mi się, iż jest to nie tylko niewłaściwy ale nawet niebezpieczny sposób stawiania sprawy, bo akurat rezultaty działalności p. Starzyńskiego nie przemawiają przeciw „mianorządowi". Może właśnie dlatego dąży się do usunięcia go jak najprędzej? Ale w ten sposób niczego się nie dowiedzie. Dowieść wyższości samorządu można było by najlepiej w ten sposób, by po upływie okresu przymusowego zarządu p. Starzyński został Prezydentem Miasta z wyboru i gdyby się okazało, że w warunkach samorządu potrafi on działać i tworzyć jeszcze skuteczniej, a ujemne strony „mianorządu" zostaną przy tem usunięte. Obawiam się, że gdyby stanowisko Prezydenta Miasta było obsadzane w drodze plebiscytu, to p. Starzyński miałby duże szanse. Mówi się, że p. Starzyński miał zadanie ułatwione dzięki swej pozycji osobistej, stosunkom itp. Świetnie, ale przecież w oczach człowieka myślącego praktycznemi kategoriami jest to argument za nim, a nie przeciw niemu. Wszyscy przecież uznajemy za rozsądne, gdy prywatne przedsiębiorstwo mając do wyboru dwie kandydatury na dyrektora w równych kwalifikacjach fachowych wybierze tego, który ma większe znajomości i stosunki. Dlaczegożby obywatele miasta, zainteresowani w jego gospodarce nie mieli kierować się takiemiż przesłankami? Interes jest interesem. A jak się komu p. Starzyński osobiście nie podoba, to niech nie chodzi z nim na wódkę. Przymusu w tym wypadku nie ma zresztą i przy zarządzie przymusowym.

Z. Szempliński.

FORUM SŁAWY

Omal nie doszło do starcia pomiędzy mną, a pewną panią.

Dama ta, zamieszkała już w Warszawie od kilkunastu lat wyraziła w większym towarzystwie apodyktyczne zdanie że „właściwie mówiąc, Warszawa nie posiada wielkich momentów w swojej historii". Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarło to „głęboko uzasadnione" zdanie na patriocie rodzinnego grodu, za jakiego zawsze się uważałem. Od wywołania skandalicznego zajścia powstrzymała mię refleksja: „Wybaczmy nieświadomym. Nigdy dość propagandy, nawet rzeczy zdawało by się notorycznie znanych". I zacząłem systematyczny, aczkolwiek namiętny wykład. O tem, że w Warszawie dosłownie „każda grudka ziemi" przesiąknięta jest krwią jej obrońców. Że przy każdej regulacji ulic, kopaniu fundamentów, natrafia się na kości żołnierzy, którzy w różnych epokach padli na polu bitwy. Że polem bitwy była cała Warszawa. Że brała ona czynny udział we wszystkich zmaganiach orężnych, jakie toczyła Polska, czy to za czasów szwedzkiego Potopu, czy moskiewskiego najazdu. Że była ona świadkiem, terenem i aktorką zdarzeń, które wstrząsnęły dziejami Polski, zdarzeń wspaniałych w wielkości swego tragizmu, albo tryumfu i zwycięstwa.

Lud Warszawy pielęgnował i pielęgnuje wspomnienia i legendy przeszłości swego miasta. Ale Warszawa — to miasto stare i młode jednocześnie. Młode w swej dynamice rozwojowej. Jej ludność zwiększa się nie tylko w drodze przyrostu naturalnego ale również — i to w większym jeszcze stopniu — w drodze mi-

gracji wciąż nowych elementów, które wciąż napływają z całego kraju, asymilując się szybko i ożywiając obieg krwionośny stolicy. Element napływowy majoryzuje warszawian „urodzonych". Z jego szeregów wyrastają częstokroć najgoretsi patrioci miasta, ludzie, którzy związali się całym swoim jestestwem z życiem miasta i wywarli swoją działalnością trwały ślad na jego obliczu i charakterze. Przeważająca jednak masa stopniowo dopiero wiąże się psychicznie z Warszawą, a z jej wielkiemi tradycjami nie zawsze ma możność i ochotę się zżyć i zaznajomić. Zresztą nawet i rdzennym warszawianom często brakuje wiadomości o historii i tradycji rodzinnego miasta, tradycji, będącej pożywką prawdziwego przywiązania.

Niepośledną zasługą obecnego zarządu miasta jest to, że dbając o przyszłość stolicy i jej rozwój w stylu wielkiego miasta, nie zapomniał też o pamiątkach przeszłości, że je pielęgnował, odkrywał oczom mieszkańców, wygrzebywał z zapomnienia, otaczał opieką, chronił od zagłady. Wspomnę tylko o odrestaurowaniu szeregu pięknych gmachów, świadczących o wiekowej naszej kulturze, a więc Teatru Wielkiego, Arsenału, pałacu Blanka, murów starej Warszawy, o pracach ,podjętych dla ocalenia od zagłady i dla ozdobienia mauzoleum obrońców Warszawy, żołnierzy różnych czasów, począwszy od szwedzkiego najazdu, spoczywających na cmentarzu kamionkowskim. Monumentalna dzielnica Marszałka Piłsudskiego ma stać się świadectwem naszej epoki okresu walki o niepodległość, jej zdobycia i ugruntowania.

Jest to — w obecnej chwili — ostatnia karta wielkich zdarzeń, uwidocznionych w murach, pomnikach i pamiątkach Warszawy. Im silniej zdarzenia te przemawiają do wyobraźni, tem większy jest moralny wpływ nastroju stolicy na psychikę jej mieszkańców i tych, którzy ją odwiedzają.

Słusznie też wysunięty został ostatnio projekt podkreślenia i uczczenia tych moralnych i ideowych wartości Warszawy.

Chodzi o teren, ciągnący się od Zamku poprzez Krakowskie Przedmieście koło kościoła Bernardynów aż po kościół św. Krzyża. Historia tak się składała, że właśnie na tym terenie rozegrał się szereg zdarzeń o wiekopomnej w dziejach nie tylko miasta, ale i całego narodu polskiego wartości.

Autor w następujący sposób projekt swój rozwinął i uzasadnił.

Tu w dniu 26 lutego 1578 roku przed kościołem Bernardynów był złożony hołd Stefanowi Batoremu przez Jerzego Fryderyka, księcia Anspachu i lennika Prus Książęcych.

Tu w 1589 roku przed tymże kościołem Fryderyk Wilhelm książe Kurlandii i Semigali hołd złożył Zygmuntowi III.

Tu w dniu 29 października 1611 roku poprzez Krakowskie Przedmieście odbył wjazd triumfalny Hetman Stanisław Żółkiewski po zwycięstwie Kłuszyńskim i opanowaniu Moskwy.

Tu w dniu 16 listopada 1611 roku przed kościołem Bernardynów Zygmunt III przyjął hołd od elektora i margrabiego Brandenburskiego Jana Zygmunta jako od księcia pruskiego.

Tu w 1639 roku Władysław IV przyjął hołd od książąt Kurlandzkich.

Tu w 1644 roku na placy Zamkowym wzniósł Władysław IV kolumnę na cześć swego ojca.

Tu w dniu 12 września 1683 roku przez dziwne zrządzenie losu w sam dzień odsieczy Wiednia odsłonięto figurę Najświętszej Marii Panny Pasawskiej.

Tu w dniach 17 — 18 kwietnia 1794 roku odbywały się krwawe walki powstańców i walecznego pułku Działyńskich z wojskiem rosyjskim.

Tu w dniach 8 i 9 maja 1794 roku wystawiono szubienicę dla zdrajców ojczyzny i dokonano na nich egzekucji.

Tedy w dniu 9 września 1814 roku szły wojska polskie powracające z kampanii napoleońskiej ze zwłokami księcia Józefa Poniatowskiego.

Tu w 1820 roku słynny rzeźbiarz Thorwaldsen wybrał miejsce pod pomnik Księcia Józefa.

Tędy w dniu 31 marca 1831 roku szedł pochód zwycięskich wojsk z pod Wawra i Wielkich Dębów ze sztandarami, z siedmiu tysiącami jeńców, z dwudziestu kilku działami.

Tu 27 lutego 1861 roku napadli Kozacy na kondukt pogrzebowy i zginęło owych pięciu manifestantów.

Tu w dniu 8 kwietnia 1861 roku odbyła się masakra ludu a pod kopytami koni kozackich zginęło dwustu ludzi.

I tu wreszcie w dniu 19 marca 1920 roku wręczono buławę Zwycięskiemu Wodzowi Marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu w imieniu wojska polskiego.

Przedstawiam tu po raz pierwszy projekt, by w okresie przebudowy placu Zamkowego szereg kamienic, czy to przy placu Zamkowym, czy też na Krakowskim Przedmieściu architektonicznie przekomponować, ozdobić szlachetnym oblicowaniem z kamienia i z piaskowca, lub granitu, i umieścić na pamiątkowych tablicach, napisy głoszące sławę, czasem wzniosłych, czasem radosnych, czasem tragicznych scen jakie się tu rozgrywały. W ten sposób z placu Zamkowego i Krakowskiego Przedmieścia utworzyłoby się „forum" sławy i chwały narodu polskiego i czującego ludu Warszawy.

Stamtąd droga wiodłaby poprzez Nowy Świat, przez Aleje Ujazdowskie — dawniejszą drogą Kalwaryjną — do placu Wolności pod pomnik Marszałka Józefa Piłsudskiego, stąd Aleją Marszałka Piłsudskiego szedłby szlak do dzielnicy Marszałka, na nasze „pola chwały" do wspomnianej świątyni, (opatrzność — przyp. nasz) gdzie naród cały będzie mógł zanosić modły do Boga o szczęście ojczyzny.

W ten sposób projekt wiąże w jedną wielką całość kompozycyjną miejsca wspomnień wielkiej przeszłości z monumentalnym wyrazem przełomowego w dziejach Rzeczypospolitej i jej stolicy momentu, oraz z wizją jej wspaniałej przyszłości.

m. s.

ŁOMNA TO NIE WARSZAWA... NIESTETY

Uwzględniając wozy konne przybywające z okolic miasta można uważać, że liczba krążących po stolicy pojazdów motorowych jest taka sama, jak pojazdów konnych. Ten stan rzeczy pociąga za sobą cały szereg konsekwencyj ujemnych, które postaram się z grubsza wyliczyć:

1) Bruki miejskie t. zw. ulepszone, t. j. dostosowane do ruchu motorowego, są mało odporne na żelazne obręcze kół i podkowy. Wydatki Zarządu Miejskiego związane z tym specyficznym „końskim" niszczeniem jezdni, szacowane są na parę milionów złotych rocznie; są to straty rozdrobnione w czasie i przestrzeni i dlatego trudno widoczne, nie drażniące, ale tem niemniej duże. Aby ich w małym choćby stopniu uniknąć, zastosowano śmieszny ersatz motoryzacji, w postaci ogumienia kół pewnej ilości wozów konnych; to przylepianie angielskiego plasterka na dużej ranie nazwano w prasie przykrą i wstydliwą nazwą „polskiej motoryzacji".

2) Szybkość poruszania się wozu konnego na ulicach Warszawy wynosi około 10 km/godz., pojazdu mechanicznego 30 — 40 km/godz. W rzeczywistości pojazdy mechaniczne obecnie muszą być powolniejsze, gdyż muszą się dostosowywać do tempa końskiego na wszystkich ciaśniejszych ulicach i tracić czas na zatorach. Z tego wynika strata czasu, w warunkach naszych mało ceniona, ale przecież strata. Pozatem, jeżelibyśmy sobie wyobrazili, że na miejsce koni wchodzą motory, to znaczyłoby, że połowa obecnych w Warszawie pojazdów będzie poruszać się 3 — 4 razy szybciej, czyli 3 — 4 razy krócej przebywać na jezdni; innymi słowy liczba pojazdów obecnych na jezdni zmniejszyłaby się o $^1/_3$ lub nawet $^3/_8$ ich liczby obecnej. Wielki problem urbanistyczny (będący jednocześnie problemem bezpieczeństwa zdrowia i mienia), jakim jest zatłoczenie, nawet przeciążenie ulic i mostów — z miejsca zmieniłby radykalnie swe oblicze. Byłby to zysk ogromny, który jest obecnie straconą korzyścią.

3) Warszawski ruch uliczny to mieszanina oliwy z wodą, mieszanina elementów odmiennych od siebie i nie dających się zsynchronizować. Wiąże się to z marnotrawstwem czasu i z kłopotami urbanistyki — ale ponadto jest to przyczyną wielkiego procentu wypadków ulicznych, przyczyną połamanych kości ludzkich i nadwyrężonych pojazdów. Znowu ujemna konsekwencja obecności w Warszawie wielkiej liczby koni, trudno dająca się ująć w jakąś sumę złotówek — ale przecież nie bylejaka.

4) Nie przypominajmy korzyści, jakie wiążą się z postępem motoryzacji. Wszyscy wiemy o nich dobrze. Świadomość tych korzyści każe bardzo wysoko cenić ewentualność wprowadzenia motorów na miejsce koni warszawskich. Stratą jest, jeżeli się tego nie czyni.

5) Zastąpienie konia motorem, to zastąpienie prymitywnego woźnicy czy parobka stajennego przez szofera i mechanika. A to nie byle co, zarówno dla pokojowego życia gospodarczego, jak zwłaszcza dla wojska i jego spraw.

Jest więc dużo argumentów i racyj, aby zlikwidować pojazdy konne w Warszawie, nie wydawać pozwolenia na ich eksploatowanie. Przepisy administracyjne dają dostateczne możliwości po temu. Nie musi się tego czynić z dnia na dzień. Można zaprzestać wydawania pozwoleń nowym wozom, a stare stopniowo, np. w 3 — 4 lata, pozbawiać pozwoleń. Wozom prowincjonalnym można zezwolić na kursowanie tylko po nielicznych ulicach wiodących do targowisk i ewentualnie w godzinach nocnych, ze względu na przemysł budowlany.

Czemu się tego nie czyni?

Jedną tylko widzimy przyczynę: staropanieńską miękkość serca. Szkoda tych biednych woźniców, nieprzyjemnie było by wysłuchiwać ich żalów; lepiej pogodzić się z ogromnymi kosztami, jakie pośrednio wiążą się z ich pracą (uwzględniając cytowane wyżej momenty, jestem pewien, że koszt społeczny przewozu konnego jest w Warszawie wyższy, niż przewozu motorowego) i lepiej zrezygnować ze stworzenia warsztatu pracy dla tych pożytecznych dla kraju pracowników, którzy znaleźliby zatrudnienie przy samochodach. Owszem, uwzględnia się wszystkie „anty-końskie" argumenty i wysnuwa się z nich konsekwencje — ale jakie? Ano, utrudnia się życie dryndziarzom, redukując im miejsca postoju i nakazując posiadanie liczników, których nie pragnął ani dorożkarz ani jego pasażer. Z dobrego serca wypłynęło coś bardzo podobnego do szykany administracyjnej, natomiast coś możliwie odległego od *decyzji*. Obcina się psu ogon po kawałku, aby go to mniej bolało.

Mogłaby być wymieniona inna jeszcze przyczyna unikania radykalnych rozwiązań. Przyczyna pryncypialna, mianowicie niechęć do stosowania bezpośrednich środków administracyjnych; niech się to utrze powoli samo, niech motor zwycięży konia swą wyższością techniczną i gospodarczą. Ale to jest przyczyna fikcyjna, dymna zasłona. Koń jest uprzywilejowany w stosunku do motoru przez przepisy podatkowe, rejestracyjne itp. Ponadto pojazd konny może wprowadzić w walkę konkurencyjną — i wprowadza — element nędzy ludzkiej. Koszta eksploatacyjne wozu konnego, a więc i jego zdolność konkurencyjną można sprowadzić do poziomu odpowiadającego krańcowemu minimum egzystencji nędzarza - woźnicy i szkieletu - konia. Unikanie bezpośrednich rozstrzygnięć administracyjnych, wekslowanie sprawy na wolną konkurencję — to tolerowanie i kultywowanie nędzy ludzkiej i zwierzęcej, a więc metoda postępowania bynajmniej nie zalecona.

Skąd się wziął tytuł tej notatki? — może zapytać czytelnik. Co do tego problemu ma miejscowość Łomna, folwark, położony pod Warszawą, obok szosy modlińskiej?

Ano, ma. Od szosy państwowej prowadzi do Łomny krótki odcinek dobrze utrzymanej szosy, a równolegle do niej dosyć rozbita droga polna. Przy wjeździe na ów odcinek stoi wielka tablica z kolorowym napisem: „*Maj. Łomna. Droga prywatna. Przejazd pojazdów konnych zakazany*".

Pobudował sobie właściciel Łomny szosę dla automobilów, ceni sobie to swoje dobro, nie chce go wydać na zniszczenie, nie puszcza na nią koni. Woźnice

jadący po błotnistych koleinach tuż obok i równolegle szosą, klną pewno brzydkiemi słowy, ale pan na Łomnie słusznie nie przejmuje się tem. Z zadowoleniem pewnoby zobaczył, gdyby któryś z jego dostawców zamienił sobie wózek konny na samochód i podjechał pod dwór szosą. Mądra jest łomniańska tablica. Jest ona wynikiem decyzji pomijającej staropanieńską czułostkowość, nawiasem mówiąc decyzji pozbawionej tych licznych argumentów, które z całą siłą przemawiają za powzięciem takiej samej decyzji w stołecznem mieście Warszawie. Jakżebym był rad, gdyby gospodarz Łomny pogadał na te tematy z gospodarzem warszawskiego ruchu ulicznego, t. j. Komisarzem Rządu; pewnoby uzgodnili swe poglądy ci *dwaj panowie*, a miejmy nadzieję, że dbały o swe dobro pan na Łomnie natchnąłby swą siłą decyzji dbałego o dobro społeczne Komisarza Rządu.

Fr. Kozłowski.

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.